Nr. 17. Warszawa, dnia 15 (28) Kwietnia 1900 r. Rok XX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8. z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 60, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 7.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

BEZ WYJŚCIA.

Jak nad Bramą Piekieł nad tym lochem, który się nazywa ugodą czesko-niemiecką, wyryć potrzeba dantejskie „Wszelką porzućcie nadzieję.“ „Ugoda“ jest tylko skradzioną przez sofistykę namiętności nazwą na wieknisty spór. Komisya ugodowa, odpoczywająca po trudach lutowych i marcowych — tak samo nic nie wyda, jeśli jeszcze żywa ze snu się zbudzi, jak nie wydadzą nic jednostkowe z obu stron usiłowania umysłów najtrzeźwiejszych, najspokojniej do urzeczywistnienia praw swoich dążących; a trzeba być wielkim lubownikiem pięknie malowanych, wzrok dziecięcy zachwycających baloników, aby uwierzyć w to, że Rada państwa w Wiedniu cokolwiek w tej sprawie wydać będzie mogła, prócz głębszego jeszcze rozkopania przepaści oddzielającej oba narody. Nie, niema nadziei; byłaby tylko przy wskrzeszeniu idei federacyjnej; ale nad tem wskrzeszeniem znowu ciąży przekleństwo z małości charakterów, ślepoty umysłów, stałego przeczenia i niechęci w ognisku woli państwowej; ciąży brzemię złego nałogu, który przyzwyczaił już ludy Przedlitawii do połowiczności nieszczęsnej, w dzisiejszy układ jej konstytucyjny wcielonej.

I tak wre walka na przestrzeni jakich 2,000 mil kwadratowych na obszarze, do którego obie strony roszczą sobie pretensye wyłączności. Niemcy przed wiekami wdarli się jako przybłędy, osadnicy i zdobywcy na ziemie słowiańskie, ale przez czas, przez pracę cywilizacyjną i przez polityczną działalność zasiedzieli się, wrośli w grunt i utracili swój napływowy charakter. Czesi, wytwór etnologiczny pierwotnej Słowiańszczyzny zachodniej, byli na tym gruncie już niezaprzeczonymi gospodarzami, zanim historya zdążyła do swoich ksiąg wieczystych prawo ich wciągnąć, a chociaż w cywilizacyi dali się Niemcom wyprzedzić, nic lepiej o ich prawie nie świadczy, niż ta właśnie przedhistoryczność ich dziejowych w krainie czesko-morawskiej kolei, i nic znowu lepiej tego prawa nie stwierdza, niż ich odrodzenie się na początku tego stulecia po dwuwiekowem prawie zamarciu. Tylko ten, kto soki żywiące i ożywcze ciągnie z gruntu własnym jego potem, krwią i myślą przesiąkłego—może tak zmartwychpowstać, jak oni zmartwychpowstali po ohydnych rzeziach, uciskach i nagankach Ferdynandów, Leopoldów i Józefów. Każdej ze stron, każdemu z wrogów wolno prawa swoje czuć, cenić i w przewodnią gwiazdę dla tej królowej wszystkich namiętności— żądzy życia — rozpalać. Może Czech być dumnym ze swej starodawności, swej epoki legendowej, kiedy-to, w doskonałej jedności z naturą zewnętrzną, przejmował jej kształtami swe dzieje polityczne; może Niemiec pysznić się swemi pracami i zdobyczami cywilizacyjnemi, swą polityczną już potęgą: niechby tylko z tej sprawiedliwej dumy nie rodziła się wzajemna nienawiść, z poczucia prawa — bezprawie, ze wspólności życia — walka na śmierć.

Tego właśnie życzenia rozumu nie spełniła natura w zbiorowym człowieku falująca. Przy dzisiejszym stanie kultury spełnić go nie mogła. Niczego nie obiecywała, za nic też nie odpowiada. Potężna, żywotnością swą silna, szła naprzód, myśląc tylko o sobie. Na straży własnej indywidualności dziejowej stojąc, odgraniczała się starannie od współzawodniczej — nienawiścią, najpowszechniejszą namiętnością dziejów. Stosunki polityczne i administracyjne wzmacniały naturalną reakcyę umysłów i serc. Gdzie w stosunkach tych nie panuje linia prosta, tam musi wszystko biedz po krzywiznach: życie, zamiast składać się z funkcyj, składa się ze starć. Dziś już straconem byłoby w Czechach apostolstwo pokoju i zgody w imię tej konieczności, która oba narody na jeden punkt globu ziemskiego stłoczyła, a do obu głosem żywiołowym przemawia, że niepodobna żyć z sobą, tocząc ciągłą wojnę. Pobudki z rozsądku i rozumu wytryskujące nie wystarczą dla mas, dla wojujących armij obu narodowości: wystarczyć może tylko pozytywne, polityczne zaspokojenie żądzy tak jednej, jak drugiej. Do takiego wyniku, zdolnego dać ukojenie, może doprowadzić obie strony tylko dobrowolne ograniczenie żądz: zadanie niesłychanie trudne. Ułatwićby je mogła federalistyczna forma państwa: pozostawienie Czechów i Niemców samym sobie, pod brzemieniem wszakże obowiązku myślenia o całości, podtrzymywania jej życia własnymi środkami, przy podobnem współdziałaniu innych jestestw narodowych, składających federacyę. Ale od federalizmu właśnie Austrya coraz dalej ucieka, a coraz większa centralizacya w świecie nie nawraca jej na prawą drogę zbawienia.

Gdy się uciec pragnie od całego tego plugastwa rozwydrzonej namiętności, tego śmietnika sofistyki, tej gnojówki popisów retorskich tak jednej jak drugiej strony— i usiluje w umyśle zatrzymać tylko to, co dla jego działalności krytycznej jest niezbędnem — wynosi się przekonanie o zasadniczej sprzeczności utajonych myśli, rozpędowych sił, ostatecznych a najgłębszych dążeń obu stron. Niemcy wychodzą z zasady *terytoryalności*, wykrawają sobie z Czech terytoryum niemieckie, do granic Niemiec przytykające; Czesi czerpią swe pomysły, biorą swój rozpęd z zasady *narodowości*, tj. z poczucia i z rzeczywistej duchowej i społecznej przynależytości do narodowego ogromu. Zasada niemiecka rozrywa Czechy; zasada czeska utrzymuje je w spójni. W urządzeniu upragnionem przez Niemców Czech może być na pewnem terytoryum Ziemi Czeskiej, czy też czesko-niemieckiej, cudzoziemcem; w porządku ujętym przez Czechów w projekt wielkanocny z r. 1899, Niemiec dość silny liczbą, aby mógł być prawną mniejszością, nie jest nigdy i nigdzie, na żadnym punkcie Czech, odartym ze społecznie-przyrodzonego prawa do używania rodowitej swej mowy. Myśl czeska jest i etycznie i politycznie wyższa. Niemcy przywiązują prawo do terytoryum, Czesi do człowieka. W tej różnicy zasad twórczych tkwi cała beznadziejność usiłowań i prób i cała zarazem tajemnica tej wścieklizny politycznej, która, wytaczając się z ciasnej kotliny czeskiej na obszerniejszą widownię całej Austryi przedlitawskiej, grozi jej niemocą i przewrotami wewnętrznymi, a wywołując już oczywistą niemoc na zewnątrz, wytwarza warunki sprzyjające działaniu stamtąd sił rozkładowych, wrogich.

Tydzień polityczny. Królowa angielska nie wróciła jeszcze do Londynu. W Irlandyi przyjęcie nie przekracza granic ceremonialności. Znaczenia politycznego podróż mieć nie będzie. Mówiono o czemś podobnem do Home-Rule'u, o rządowym uniwersytecie katolickim: wszystko bańki mydlane. Ks. Walii wrócił do kraju z wycieczki, upamiętnionej zamachem brukselskim d. 4 b. m. Charakteru tego zamachu dotychczas albo nie wykryto, albo też jeszcze nie ujawniono. W Indyach głód.

W Afryce oczekiwanie tryumfów Robertsa. Przez dwa miesiące zdołał on zająć Bloemfontein, ale nie zdołał nawet pola jego całkowicie opanować. Skrytykował generałów, którzy przed jego przybyciem błądzili: ciekawa rzecz, kto i jak jego znowu krytykować będzie? Ucieranie się Boerów na południu, obleganie Wepeneru, prawdopodobnie źle się skończy; Caledon może się stać Modderem. Siły boerskie są tam całkiem odosobnione. Na wschód od Bloemfontein powiodło się Anglikom. Z innych punktów drobnostki, plewy; Mafeking tylko zdaje się już dogorywa.

W Madrycie częściowe przesilenie gabinetowe pod tym samym prezesem, Silvelą.

We Francyi wystawa— dokończana na gwałt. Meline wyrzucił nowe pioruny na dzisiejszy rząd. Chce mu się gwałtem sukcesyi — i roli restauratora monarchii.

Między Turcyą a Stanami Zjednoczonymi Ameryki Półn. nieporozumienie o 90,000 dolarów, których Turcya nie płaci, bo nie ma z czego. Zapowiedź eskadry amerykańskiej przypomina operetkę.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ŻEBRACTWO INTELIGENCYI.

W pismach istnieje skarbonka miłosierdzia publicznego. Pani Prasa-Filantropka stoi i potrząsa nią wołając: „Co łaska, szanowna publiczności! Dla młodzieży ubogiej, która wpisu nie opłaciła! Ludzie litościwi! Rzućcie parę groszy, ażeby jutro biedaków nie wygnano.“ Przechodnie zatrzymują się i rzucają monetę drobną; a gdy się trochę uzbiera, do kantorów redakcyj wędrują tłumy matek, ojców lub młodzieży szkolnej i z pokorą żebraczą błagają o pomoc. Tam się odbywa cała spowiedź nędzy, wywleka się łachmany życia i roztrząsa je zwilżone łzami przed rozdawcą ofiar publicznych. Tam dusze znękane i skurczone przechodzą przez ogień największego upokorzenia, w którym spopiela się doszczętnie godność człowiecza... „Patrzcie, nieboracy! Ludzie są dobrzy, litościwi. Wsparli was jałmużną; pozwolili wam korzystać z nauki!“ Dusza młodzieńcza wzdryga się, czuje w sobie ból głęboki, żal nieokreślony, goryczą gryzącą.

Ale to jest uczucie, jakiego się doznaje wkładając do wody gorącej rękę, oparzoną w ukropie. Powoli ból tępieje, hart duszy odchodzi, a jego miejsce zajmuje giętkość pokory. Wytwarza się natarczywość. Błagaj, rozsyp się w proch upokorzenia — a kończ nauki! Będziesz inżenierem, doktorem, adwokatem. Czołgaj się i płacz — bo nie dojdziesz do szczytu swych marzeń...

Uczeń z torbą żebraczą kończy gimnazyum i przechodzi do uniwersytetu. Tam się powtarza to samo, może tylko w mniejszym stopniu. Uboga młodzież studencka skazana na łaskę miłosierdzia publicznego, zaprawiona do tego źródła pomocy w szkołach, z mniejszymi już skrupułami przyjmuje pomoc pani Filantropii, bez rumieńca i poczucia upokorzenia wita na balach i rautach „studenckich“ łaskawie rzucane naddatki przez pięknie ustrojone panie i panny.

W takiej atmosferze przez cały okres nauki szkolnej i uniwersyteckiej oddycha dusza młodzieńcza; w takich warunkach urabia się charakter przyszłego obywatela społeczeństwa. Praca natężona i niepokój o studya, zabiegi i współzawodnictwo o pomoc ludzi miłosiernych — to jest tło, na którem się rozsnuwa najpiękniejszy okres życia i uczuć. Z puchu okrywek dam kwestujących wyrastają skrzydła do wzlotu, z kurzu sali balowej tworzą się obłoki w sferach snów na jawie; z miedziaków i papierków, z reszty banknotów zmienionych na giełdzie wyrastają schody, po których wstępuje młodzież do przybytku karyery...

Pilni, zdolniejsi mają jeszcze inną formę pomocy, mniej dotkliwą, ale wytwarzającą pewnego rodzaju turnieje: Są to stypendya, także powstałe z funduszów Filantropii. Zabiegi o nie — to nowa szkoła, przygotowująca do życia praktycznego. Tam młodzież zawczasu już poznaje dobrodziejstwa i siłę protekcyi, powaby i przedsmak karyery. Tam zawczasu ocenia całą wątłość tkaniny ideałów, z której miały powstać żagle do nawy czynów i obowiązków społecznych.

Zanik poczucia tych obowiązków ujawnia się już bardzo prędko po opuszczeniu ławy akademickiej. Oto co pisze p. Tymo-

---

Wł. Orkan.

Z tej smutnej ziemi...

(KOMPOZYCYA LIRYCZNA).

Patrz — nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole ..

Narodu ciżba, ludu moc
Szalonem kołem pędzi —
Śmiertelna jakaś, cicha Noc
Zawisła u krawędzi...

I jedno skrzydło czarne wzdłuż
Po niebie rozpostarła,
A drugie pod się biorąc — tuż,
O skały je oparła...

I tak w milczeniu, pełna dum,
Stanęła nad urwiskiem.
U stóp jej czernią zaległ tłum,
Kotłuje się mrowiskiem

I w rozpętaniu ślepych mas
Szalonem kołem pędzi —
A przed nim zwolna stąpa Czas
I mierzy dal krawędzi...

Widzisz na stoku czarny las?
Jak długo stoi, kto wie...
Stoi tak, jak przed wiekiem stał —
I nikt z żyjących już ci nie opowie,
Kto go tam siał...

*

Hej!., nad urwiskiem pędzi tłum
W tanecznem, wartkiem kole —
Uboczą idzie smreków szum,
Potoki huczą w dole.

Szatański jakiś tworzy wir
Ta rozbawiona rzesza,
A Noc rozplata ciemny kir
I dołem go rozwiesza...

„Zapomnieć! dalej! wartko! w skok!
Niech ziemia się rozdudni!.
Rozbity piersią padnie mrok
I noc się wypołudni...“

„Zapomnieć trosk i łez i krwi,
Ho, dalej! bez pamięci!..
Naród z proroków bożych drwi,
Igrzyska stare święci!“

„Hej, ognia! ognia! Palcie stos!
Niech bogom strzeli w oczy!..“ —
Huczy wezbranej fali głos
Daleko po uboczy...

*

W dolinach mgły...
Na nieprzejrzanej ziem przestrzeni
Białe się morze przelewa i pieni
I tak się cicho z bezmiary kołysze,
Jak od błękitów spadające wisze ..
Wiatr po niem tańczy i grzywiaste lwy
Porywa, wstrząsa, obala i ciska,
W toń białą rzuca i grzbiety im gnie,
Do piersi fale miłośnie przyciska,
Obraca niemi, wiruje i mknie
Z nieznanej dali w nieznaną dal...
Dziwna igraszka fal
Na smutnych mgławic szarym oceanie!
Skąd zatopionych gór skaliste szczyty
Widnieją słońcu — niebosiężne granie —
Wyspy umarłych, chowające byty
W grobowcach skalnych... W pozłocistej [dali,
Gdzie od błękitu odcina się brzeg—
Słońce się krwawo-zimnym ogniem pali,
Po wierchach topi wiekuisty śnieg
I płomienistem wytacza się kołem...
Dołem,
Na szarzejącej równi białej,
Mgły-samotnice, ciche, opuszczone,
Błądzą i wiatru płaczą... Włos rozwiały,
Nie wiedzą smutne, w którą lecieć stronę.
W rozpaczy białe wyciągają szyje
Do słońca, co się po za wierchy kryje.
Wyszło... Z obawy, że im znowu pierzchnie,
Pochwyciły się za ręce i lecą
Białe, pierzaste, jak łabędzie świecą —
Całe ich stado powietrzem falisto
Płynie, aż słońce od ich skrzydeł mierzchnie,
Mży i rzewnością otacza się mglistą,
Łagodnym smutkiem idącą w przestworza..

teusz Łuniewski w liście prywatnym do kogoś: „Od jakichś dwunastu lat jestem członkiem komitetu stypendyalnego imienia Fr. Kamińskiego. Rozdzielamy około 4,000 rubli pomiędzy studentów uniwersytetu. Stypendya od 100 do 250 rb. dostaje corocznie około 30 studentów. Nie słyszałem o wypadku, aby stypendysta, gdy dorobi się mienia, poczuł w sercu obowiązek zwrotu wziętej zapomogi i tym sposobem pomnożył skarb, przeznaczony na kształcenie młodzieży niezamożnej.“

Nie jest to skarga pojedyncza. Od lat wielu słyszymy utyskiwania na owe zaległości wychowańców wyższych zakładów naukowych nietylko w kraju, lecz i za granicą. Śród byłych stypendystów są ludzie zajmujący dziś wybitne i bardzo intratne stanowiska: dyrektorowie różnych instytucyj, finansiści, przedsiębiorcy itd. Są ludzie, którzy wydają dziesiątki tysięcy na komfort i rozrywki swego życia, a jednocześnie figurują na liście dłużników stypendyalnych, których zaległość wynosi paręset, a nawet tylko kilkadziesiąt rubli. Instytucye pomocy stypendyalnej skutkiem tego usychają, a młodzież uboga napróżno kołacze o pomoc, naraża się na zawody, upokorzenia i zgryzoty. Niejednokrotnie nawet czytaliśmy groźby publicznego ogłoszenia nazwisk byłych stypendystów, którzy się nie poczuwają do obowiązku zwrotu zasiłków, czerpanych podczas studyów w okresie ubóstwa.

Taki zanik poczucia tych drobnych obowiązków społecznych jest właśnie wytworem systemu pomocy filantropijnej. Młodość ma nietylko powaby życia, lecz i najcenniejsze skarby świeżości uczuć, porywów i marzeń najszlachetniejszych. Skupia ona i wytwarza w wielkiej sile najlepsze pierwiastki duszy i charakteru. Dlatego, pomimo niedoli przebytej, pomimo licznych upokorzeń, doznanych w nędzy, nie przestaje nawet w późniejszym okresie być źródłem odżywczem, z którego wiek sytości i wywczasu czerpie chwilami lepsze bodźce. Uciekają się do tego źródła niekiedy nawet typowi słudzy karyery, nawet zaprzańcy społeczni, którzy swoje uczucia i potrzeby skupili w kosztownej muszli własnego życia. Można więc sobie wyobrazić, jak dalece zanikły w nich wszelkie pierwiastki bodźców społecznych, skoro nawet czysta krynica młodości nie może ich poruszyć.

Śród rzesz młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej widzimy „harde dusze,“ ludzi z silnie rozwiniętem poczuciem godności, którzy unikają żebractwa na opłacenie wpisów i starają się zaradzić sobie w inny sposób: zarobkują korepetycyami. Umysł omdlewa ze znużenia, organizm, wymagający wielkich zasobów dla swego rozwoju, nie może znieść bezkarnie wysiłku nadmiernego. I oto rozgrywa się najstraszniejsza tragedya życia, bez efektów scenicznych, lecz wstrząsająca do głębi duszę wrażliwą. *Echa płockie i łomżyńskie* podały ostatnią scenę takiego dramatu. Niedawno zmarł w Płocku uczeń gimnazyum miejscowego, skutkiem przeciążenia korepetycyami, które doprowadziły do zupełnego wyczerpania organizmu. Tak kończą „harde dusze,“ bohaterowie, którzy w walce z nędzą mają jedyny oręż: poczucie godności ludzkiej. Jeżeli z takiej walki wychodzą zwycięzko, to dają następnie najlepsze siły i najszlachetniejsze porywy społeczeństwu.

Zarówno jednak taka samopomoc, jak i korzystanie z jałmużniczych datków ogółu wyrządza wielkie i niepowetowane krzywdy. Ludzie unikający ofiar z miłosierdzia, trwonią swe siły najlepsze lub tracą życie. Z drugiej strony społeczeństwo czuje potrzebę niesienia pomocy bliźnim, ale w najprostszej formie: filantropii jałmużniczej, i złożywszy drobny datek, doznaje ulgi, uspokojenia, w tem przeświadczeniu, że spełniło uczynek miłosierny. Nie zdaje sobie wszakże sprawy z tego, że systematyczna jałmużna znieprawiła dusze wbrew woli ofiarodawców przyczyniła się do wytwarzania pasorzytów i pielęgnowania egoizmu śród mas inteligencyi.

Pomoc społeczna jest bardzo potrzebna, ale w innej formie. Zamiast puszki jałmużniczej, potrząsanej przez Prasę-Filantropkę, zamiast zapisów stypendyalnych, do których młodzież niejednokrotnie musi dobierać klucze protekcyi, pożądany byłby kredyt zorganizowany na takich podstawach, na jakich istnieje dla wszelkich kategoryj pracowników. Niech młodzież kształcąca się ma własną instytucyę kredytową, z której mogłaby czerpać pożyczki długoterminowe na opłacanie wpisów i inne środki niezbędne. Niech ogół wszelkimi sposobami zasila taką instytucyę, a nie będzie to już jałmużna lub nawet filantropia w szerszym zakresie, lecz instytucya społeczna, która nietylko uszanuje godność ludzką, nietylko oszczędzi upokorzenia, lecz nadto rozwijać będzie w młodzieży poczucie ważnych obowiązków.

Zenon Piętkiewicz.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Różne teorye germanizacyi. — Rady p. Brüggena. — Program, uchwalony na zebraniu hakatystów. — Czy się mamy smucić? — Zakaz sprzedaży pism polskich. — Zamach na zabytek architektoniczny. — Wydalania ludności. — Wychodźctwo masowe. — Włościańskie kółka rolnicze. — Wystawa rolnicza w Poznaniu.

W jaki sposób wzmocnić żywioł niemiecki a osłabić polski? To są pytania, nad którcmi hakatyści nieustannie łamią sobie głowy. Pomysłowość ich w tej mierze doszła do niesłychanej płodności. Nie wszyscy atoli zgadzają się z sobą. W ostatnich czasach liczne teorye germanizacyjne nacechowane są pewnym rozdźwiękiem. Jedni doradzają stworzenie wybitnych ognisk kultury niemieckiej, inni utrzymują, że to wywrze wręcz przeciwny skutek. Środki wysokiej kultury, jak np. uniwersytet w Poznaniu, muzea, biblioteki itd. dadzą Polakom potężny oręż, którym będą walczyli z Niemcami jeszcze skuteczniej, niż dotąd.

Do przeciwników takich środków między innymi należy także p. Ernest von der Brüggen. Zamieścił on w *Grenzbote* obszerny artykuł („Polnische Politik“), w którym swoje dowodzenia stara się uzasadnić na mocy faktów i danych porównawczych, zdobytych, o ile się zdaje, drogą przypadkową. Autor zaglądając do stosunków w Królestwie Polskiem, powołuje się na broszurę p. W. R. „Szkice z kraju Przywiślańskiego“ (Moskwa 1897), którą najwidoczniej zalicza do źródeł bardzo poważnych. W takich ogniskach przemysłowych, jak Łódź, Zgierz, Sosnowice, tudzież różne osady fabryczne, przeważa żywioł niemiecki, zwłaszcza na pograniczu pruskiem. Posiadłości cudzoziemców w Królestwie Polskiem obejmują około 2 milionów morgów. Pokaźną liczbę, bo aż 80% cudzoziemców stanowią poddani pruscy. Zniemczenie miejscowości pogranicznych w guberniach Kaliskiej, Płockiej i Łomżyńskiej jest już „faktem prawie dokonanym,“ gdyż 1/3 kolonij włościańskich przeszło w ręce niemieckie. Według

W dolinach szare łamią się powierzchnie
I rozstępują się, jak wody morza
W pełną księżyca noc, kiedy urokiem
Gwiazd przyciągnięte, fale się podnoszą.
I rozdzieliły się w kopiaste kłęby,
Które się zwolna ponad ziemią toczą,
Suną i suną, osłonięte mrokiem,
Mkną wąwozami po pod skalne zręby,
Mkną przyczajone, a blaski je płoszą
I pędzą dalej, a dalej uboczą...
Aż się pokryły w zagłębie i jary,
Lub się w powietrzu rozwiały, jak mary.

I na tę ziemię łez i wiecznych cieni,
Ziemię płaczących brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie ludzie dawno zapomnieli wiosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni —
Na tę nieszczęsną, skamieniałą ziemię
Spłynął brzask ranny...
Od przeczystej zorzy
Iskry padają w zadymione szyby.
Chat poczerniałych i szarych lepianek,
Budząc do życia to nizinne plemię.
Na wyrkach swoich dźwigają się chorzy,
Starcy omszali, jak miesięczne grzyby,
Wyłażą z chałup witać biały ranek:
I młodzi śniade wychylają lice,
Patrząc, jak światło mknie przez okolicę,
Jak się po roli wzdłuż smugami kładzie.
A w pełnym blasku wszystkie te postaci
Są, jako grusze w zacienionym sadzie,
Są, jako blade, ziemniaczane naci,
Które w piwnicy wilgotnej przed wiosną
W nocy się kłują i bez słońca rosną.

Na ugor pusty, podobny cmentarzom,
Pasterz wypędził bydło, niech po trawie
Zniklej żywności szuka... Smutne owce
Zbierają grzyby i gryzą jałowce.
A on, pacholę, siadł... Trzy lata prawie,
Jak ten rok minie, służy gospodarzom,
To jest od czasu, jak mu jeść nie dali
W chałupie, mówiąc, żeby robił na się,
Żeby szedł komu paść... Poszedł i pasie.
Nigdy się na nic przed nikim nie żali.
Codzień o brzasku i o jednym czasie
Wygania w pole; a gdy słońce wschodzi,
Klęka przy bydle i mówi pacierze,
A potem śpiewa wciąż na jedną nutę.
Czasem go tylko cicha zazdrość bierze,
Gdy trawa szczypie nogi zimną rosą...
Jak to jest—myśli—i jak się to godzi,
Że bydło w ciepłe racice obute,
A on wciąż za niemi musi chodzić boso?
Siadł—bose nogi podwinął pod siebie
I okiem słońce prowadzi po niebie,
Licząc, daleko jeszcze do południa...

W kotlinach szara ziemia się zaludnia
I szmer się cichy po polach przenosi,
Gwarom pszczół, trzmieli i chrabąszczów polnych,
Nie słychać piosnek, ni śmiechów swawolnych,
Jeno deszcz gwary cichy, nieustanny,
Co zaciśnięte wargi łzami rosi.
Wyszli na pola, wyszli w czas poranny—
Każdy w zagonie swoim wązkim grzebie,
Każdy kroplistym oblewa się potem,
I każdy prawie myśli tylko o tem,
Skądby tu więcej przygrzebać dla siebie
Tej ziemi pustej. Kobiety i dzieci
I niedorostki i starcy schyleni —
Wszystko się rusza na ziemi wilgotnej,
Wszystko dziękuje Bogu, że im świeci—
I sercem błaga, by dał jęczmień pleni
I pełny z niego owoc pięciokrotny,
By nie przeciągnął żniw aż do jesieni
I w gniewie swoim nie dał zbiórki słotnej,
By w dzień pogodę zsyłał, w nocy deszcze,
By dawał zdrowie, moc—i więcej jeszcze.

Tak polecając Opatrzności nieba
Wszystko, co mają na tej ziemi pustej —
Nie pożywają codzień swego chleba,
Ale głód żują zsiniałemi usty...
O, łez kraino! O, ty smutna ziemio!
Oto nad tobą w chmurach bogi drzemią
I o wieczności, zamyśleni, marzą...
Gdybyś Im ściętą w lód stanęła twarzą
W promieniach oczu—ujrzeliby w tobie
Przez pryzmat patrząc jasny i słoneczny,
Wieczność, zakrzepłą w lód, Rozpacz i wieczny
Smutek — z Niewoli urodzony w grobie.

obliczeń, pochodzących z powyższego źródła, są miejscowości, w których nietylko $\frac{1}{4}$ ale nawet połowa własności ziemskiej należy do Niemców (w gub. Kaliskiej). Koloniści, robotnicy i rzemieślnicy niemieccy są wielkimi patryotami, najłatwiej zaś się wynaradawiają wielcy fabrykanci. P. Brüggen pociesza się jednak, iż jest to zaledwie kropla w morzu. Kładzie on nacisk na to, że żywioł niemiecki w Królestwie Polskiem, pomimo licznych i poważnych przeszkód, wzrasta nieustannie, gdy w Poznańskiem przeciwnie — słabnie, pomimo, że rząd pruski wydaje miliony na kolonizacyę i czyni wszelkie w tej mierze ułatwienia: oddaje np. kolonie Niemcom zupełnie już gotowe, urządzone i zabudowane. P. Brüggen upatruje przyczynę niepowodzenia w opiece biurokratycznej, narzucającej kolonistom uciążliwe przepisy drobiazgowe. Przytem przybysz w Poznańskiem jesz szczerze nienawidzony przez Polaków. Ludność polska stanowi tam zaledwie [illegible] analfabetów, co oczywiście nie może być warunkiem pocieszającym dla kolonistów niemieckich. W Królestwie rzecz się ma zupełnie inaczej. Niemcy nie są traktowani z nienawiścią; stosunkowo zaś duży procent analfabetów śród rdzennej ludności włościańskiej daje przybyszowi przewagę kulturalną. W Poznańskiem wzrastający żywioł mieszczański śród ludności polskiej jest niebezpiecznym i trudnym do zwalczenia.

P. Brüggen, zestawiwszy te wszystkie warunki, proponuje inną metodę germanizacyjną: podniesienie płac urzędnikom niemieckim na kresach, ściąganie lepszych sił ze sfer urzędniczych, nauczycielskich i duchowieństwa. Takie tylko hufce dzielnych rycerzy, wysłanych na prowincyę, mogą, zdaniem autora, skutecznie wynaradawiać ludność polską, której trzeba dać zupełną swobodę życia i kształcenia dziatwy w ich własnych szkołach. Tym sposobem, jak sądzi p. Brüggen, Polacy będą mieli szkoły znacznie gorsze od niemieckich, co doprowadzi do niższego poziomu kultury, a więc tem samem do przewagi żywiołu niemieckiego nad polskim.

Projekty i rady tego rodzaju już dostatecznie wskazują, jak dalece umysł germanizatorów jest zmęczony walką z żywiołem polskim, a zarazem sam fakt takiej walki i wyszukiwania nowych sposobów, świadczy, jak ten żywioł jest mocny.

Niezależnie od programów, rozsnuwanych przez różnych luzaków w pismach, hakatyści obmyślają nowe programy i wypowiadają je we własnych instytucyach. Oto przed dwoma miesiącami na walnem zebraniu hakatystów w Berlinie przyjęto następujący program działalności ustawodawczej i administracyjnej: 1) Rozszerzenie ustawy z d. 28 sierpnia 1876 r., dotyczącej języka urzędowego przez dodanie warunku, ażeby używano wyłącznie języka niemieckiego we wszystkich zgromadzeniach publicznych, w towarzystwach, w publicznem życiu komunikacyjnem (na godłach składów, w napisach tramwajowych itd.), w ustawach i protokółach wszystkich banków i wszelkich innych instytucyj tego rodzaju. 2) Stworzenie osobnej ustawy, dotyczącej towarzystw polskich. 3) Zniesienie nauki języka polskiego w szkołach średnich. 4) Zniesienie fakultatywnej nauki czytania i pisania polskiego w szkołach ludowych. 5) Udzielanie nauki religii po niemiecku także w najniższym oddziale szkoły ludowej. 6) Zasadnicze wyłączanie Polaków od wszelkich urzędów w dzielnicach mieszanych pod względem języka. 7) Zmiana ustawy prasowej w ten sposób, aby wszystkie czasopisma polityczne obok tekstu w języku, w jakim są redagowane, musiały zamieszczać tłomaczenia na język niemiecki.

Czy się mamy tem wszystkiem bardzo smucić? Doświadczenie już niejednokrotnie dowiodło, że taki struszliwy ucisk, taka brutalna dążność do zagłady narodowości wywarły wręcz przeciwny skutek: wytworzyły większe poczucie siły moralnej i duchowej. Hakatyści każą nam nieustannie pamiętać, kim jesteśmy. Prześladowanie języka może tylko wywołać żarliwszą dążność do jego pielęgnowania, gwałcenie wszelkich najświętszych uczuć nadać im musi tem większy hart. To jest właśnie słaba strona fanatyków-hakatystów, której, na szczęście, jeszcze oni nie rozumieją i nie chcą zrozumieć, pomimo przestróg i nawoływań przebieglejszych prześladowców naszych. Naturalnie tego rodzaju środki uświadamiania narodowego nie są przyjemne, jak nie mogą być przyjemnemi rany, które dotkliwie każą pamiętać o istnieniu systemu nerwowego.

Niezależnie od coraz nowych projektów germanizacyi idą czyny. Oto księgarze kolejowi w Prusiech Wschodnich, W. Ks. Poznańskiem i na Górnym Szlązku otrzymali urzędowe rozporządzenie, zakazujące sprzedawania pism polskich na dworcach. Dotychczas środek ten był stosowany tylko jako bardzo surowa kara, mianowicie od dwu lat zakazano sprzedaży na dworcu *Dziennika Poznańskiego* za jakieś wykroczenie. Obecnie bez podania powodu zastosowano tę karę do wszystkich pism.

Jednocześnie postanowiono wszelkimi sposobami niszczyć ślady zabytków polskich: Kazano odnowić ratusz poznański w ten sposób, ażeby z niego usunąć wszystkie zabytki: wizerunki królów polskich na froncie wschodnim, orła na wieży, freski starożytne itd. Tym sposobem zniknie jeden z najpiękniejszych zabytków architektonicznych.

W stosowaniu środków ucisku natury społecznej Niemcy zaczynają ponownie używać broni obosiecznej. W tych dniach rozbiegła się błyskawicznie wieść o wydalaniu poddanych austryackich narodowości polskiej i czeskiej. *Morgen Ztng* donosi: „Uwolniono od pracy w fabryce porcelany w Altwasser tych wszystkich robotników czeskich, którzy przebywają w Prusiech niespełna dwa lata. Jednocześnie nakazano nieżonatym w ciągu trzech dni, a żonatym w ciągu tygodnia opuścić terytoryum pruskie. Między innymi przymusowi temu ulegnie 30 malarzy na porcelanie. Podobno jest to początek, który pociągnie za sobą wydalanie na szerszą skalę. Oczywiście przedsiębiorcy interesowani, Niemcy, którzy oparli swój byt na pracy i zdolności robotników obcych poddanych, protestują przeciwko takiemu patryotyzmowi kosztem ich kieszeni. Innego rodzaju wędrówka— dobrowolna, zastraszyła ziemian w W. Ks. Poznańskiem Przybiera ona podobno niebywałe dotąd rozmiary. Dotychczas wychodźctwo ludności robotniczej do Niemiec zaczynało się zwykle dopiero po Wielkiej Nocy. Obecnie zaś jest już ona w całej pełni od kilku tygodni. Podobno już około 80,000 robotników powędrowało do Saksonii i Brandenburgii. Oprócz dorosłych jest sporo chłopców i dziewcząt, którzy świeżo opuścili szkoły. Jaka jest główna przyczyna tej masowej emigracyi, dotąd jeszcze nie zbadano. Podobno są to skutki namowy agentów, obiecujących płacę bajecznie wysoką. Zresztą w ocenianiu tak poważnego zjawiska trzeba zachować wielką ostrożność. Opierać wywodów na domysłach nie można. Miejsce wychodźców z W. Ks. Poznańskiego zajmuje tańsza i mniej wybredna ludność robotnicza

---

Na łąki, pola i ugory skalne
Białością spływa Cisza południowa.
Ciepłe od skrzydeł roznosi powiewy,
Po drzewach wiesza ramiona upalne
I w cienie jodeł skroń gorącą chowa.
Znieruchomiały jałowce i krzewy,
Ucichły suche badyle i osty,
Trawy bez szeptów rosną — zda się, czują
Tę białą ciszę, idącą po ziemi.
Jeno pajęcze muszki owdzie snują
Szarą nić życia i, wiszące mosty
Na wiatr z mozolnie powikłanej przędzy
Kładąc, nie wiedzą, że jutro czy prędzej
Deszcz je zatopi może razem z niemi...

Na łąki, pola i tłoki skaliste
Płynie za ciszą spokój nieprzerwany,
Jakieś od mogił milczenie wieczyste,
Załość błękitna, żal w niej zakochany
I dziwnie rzewne jakieś zadumanie.
Idą po ziemi i na każdym łanie
Siadają spocząć, jak spoczywa starość
Na grobach dawnych... Gdzie spojrzeć przed [siebie —
Nic—jeno martwa i milcząca starość,
Nic—jeno pustka wielka, nieskończona,
Z oczodołami utkwionymi w niebie.
Nic nie zamąci głuszy. Czasem wrona
Zakracze, kiedy nad tą ziemią leci
W kraj, gdzie i ptactwu dłużej słońce [świeci.

Na łąki, pola i puste zagony
Płyną za białą, południową ciszą
Umarłe pieśni... Ludzie ich nie słyszą,
Nie wiedzą o nich... A przedziwne tony
Grają po trawach, szeleszczą po zbożu,
Jak pieszczotliwy szept dziecka przy łożu
Umierającej matki. Gdzie dolecą —
Tam łzy, po listkach spadając, zaświecą
I lekkie w ziemi skryją się westchnienia.
Skon południowej ciszy... Zimne drżenia
Przechodzą polem... Kołyszą się liście
Traw i włosiste pochyla się zboże,
Jakby odczuło skądś dalekie przyjście
I włosy chciało słać przed stopy boże...

Wśród łanów sennych i sennych ugorów,
Wśród tej bezmiernej pustki i bezkresnej,
Jakby dalekie zaświatów zjawisko —
Nakształt mgły wiotkiej, zwiewnej, bez- [cielesnej,
W otęczy szaroblękitnych kolorów
Przepływającej po nad ziemią nizko —
Widnieje w słońcu, przezroczyście biała
Postać Chrystusa... Ramionami swemi
Piersi przyciska, jakby z mogił wstała
I niezakrzepłe miała w sercu rany.

Jak nędzarz świata, który na tej ziemi
Nie ma i kąta, gdzieby głowę skłonił —
Tak Syn człowieczy schodzi na kurhany,
Na groby, które pył wieku osłonił,
Na tę krainę łez i wiecznych cieni,
Krainę smutną brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni,
A ludzie dawno zapomnieli wiosen.
Schodzi na pustki, ugory i niże
Z wielką białością południowej ciszy,
Z wiecznym spokojem dusz, niosących [krzyże,
Z umarłą pieśnią, której nikt nie słyszy.
I po tej ziemi idzie przez pustkowie
Martwe—w dal jakąś nieskończenie wielką,
Za którą leży mrok... Na złotej głowie
Łza matki jego zastygła kropelką
I błyszczy w słońcu, jak na tęczy rosa.
Włosy wiatr mąci... od każdego włosa
Smugi się złote na ramionach kładą,
Bladoróżowe z nich padają zorze
Na twarz wychudłą, bolesną i bladą
I rozświetlają, jak słońce, gdy złoci
Białe, na liściach rozwieszone płótno.
Oczy anielskie, z których błyszczy morze
Łez i jezioro nadludzkiej dobroci,
Patrzą w bezkresną dal—bezmiernie smut- [tno...

(D. n.).

z Królestwa Polskiego i Galicyi, a nawet Słowacy węgierscy. Pomimo to wszystko jednak rolnicy są ogromnie zaniepokojeni brakiem rąk roboczych.

Skoro potrąciliśmy o stosunki wiejskie, musimy słów kilka powiedzieć o kółkach rolniczych włościańskich. Jest ich dziś ogółem 204 — wszystkie w Poznańskiem, z wyjątkiem jednego w Prusiech Zachodnich (pow. Brodnicki). Oto są owoce działalności tych drobnych ognisk: W roku ubiegłym założono 22 spółki drenarskie, użyto 75,000 centn. nawozów sztucznych, czyniono liczne próby z rozmaitymi gatunkami zbóż i kartofli, melioracye łąk, lustracye gospodarstw, uskuteczniono mnóstwo ubezpieczeń od ognia i gradu. Dzięki temu wszystkiemu, wogóle produkcya podniosła się o 100%, a na ziemiach drenowanych o 200%. *Poradnik gospodarski*, organ kółek, cieszy się ogromnem powodzeniem. Walne zebrania uczestników kółek są bardzo pouczające, bywają tam roztrząsane różne sprawy, dotyczące środków postępu w rolnictwie, odbywają się odczyty, pogadanki itd. Między innymi wygłosił odczyt włościanin Majchrzycki, członek kółka kórnickiego, „O utrzymaniu ziemi ojczystej.“

Na czerwiec zapowiedziano w Poznaniu wystawę rolniczą z bardzo szerokim programem. Będzie ona miała na celu scharakteryzowanie postępu rolnictwa na zachodzie Europy i zaznajomienie ogółu interesowanych z udoskonaleniami, które mają na względzie podniesienie wszystkich działów gospodarstwa. Między innemi będą urządzone konkursy z dziedziny mleczarstwa i pszczelnictwa. Nadto mają się odbywać wielkie zebrania rolnicze, połączone z rozprawami. Inicyatorką wystawy jest „Deutsche Landwirtschafts-Gesellschaft“ w Berlinie, które już od roku 1887 urządza kolejno wystawy tego rodzaju w różnych miastach i dąży do zorganizowania tą drogą handlu wywozowego.

ct.

Ze Stanów Zjednoczonych.

Zjazd i sejm. — Teorya a praktyka. — Atmosfera wojenna. — Związek Polek. — Wspomnienia pogonne.

Rok 1900 rozpoczął się u nas pod szczęśliwą datą jednego zjazdu i dwóch sejmów, tj. z obfitym zapasem świeżych uchwał.

Pierwszym z kolei był X-ty zjazd Związku śpiewaków polskich w Bay City Mich., który się odbył pod koniec września r. z. Ze sprawozdania dowiadujemy się, iż Związek liczy 203 członków, połączonych w chóry męzkie, żeńskie i mieszane. Zjazd uświetniły najlepsze polskie siły wokalne, do których w pierwszym rzędzie zalicza się p. Róża Kwasigroch, córka p. Kiołbassy z Chicago. Witano toastami bliskie połączenie związku towarzystw śpiewaczych, gimnastycznych i młodzieży, przyjęto bowiem w zasadzie federacyjne połączenie się tych trzech organizacyj.

Prócz tego Związku śpiewaków istnieje podobna organizacya w Milwaukee Wisc. Również we wrześniu przypadło rozstrzygnięcie konkursu na kantatę Mickiewiczowską, ogłoszonego przez Związek milwaucki. Nagrodę w sumie 100 dol. otrzymał p. Henryk Opieński, nauczyciel muzyki w Berlinie. Równolegle prowadzi się gorliwa praca nad śpiewem kościelnym, a w Chicago i Buffalo są już kościoły polskie, gdzie pobożni mogą usłyszeć śpiew koncertowy.

Otwarcie sejmów Związku polskiego i Zjednoczenia kościelnego odbyło się jednego dnia, w połowie października. Sejm Zjednoczenia odbył się nader harmonijnie w Buffalo. Zjechało się 49 delegatów, w tej liczbie 19 zamiejscowych księży. Delegaci przedstawiali 63 głosy: niektórzy bowiem mieli ich po kilka od różnych towarzystw. Był to pierwszy sejm od śmierci ks. Barzyńskiego i wyglądał nader blado. Na wniosek ob. Kiołbassy, byłego skarbnika miasta Chicago, zastąpiono w ustawie organizacyjnej wyraz „chrześciański“ przez „katolicki.“ Uchwalono ubezpieczać kobiety na sumę od 250 do 1,000 dolarów za równą z mężczyznami opłatę. Jako najbliższy cel Zjednoczenia wytknięto federacyjne połączenie się wszystkich stowarzyszeń kościelnych.

W swem sprawozdaniu na sejm Związku Polskiego redaktor *Zgody*, S. Barszczewski, twierdził, że jest w szeregach związkowych znaczny przyrost inteligencyi. Czuć się to dało w głosach przedsejmowych, które zalały *Zgodę* powodzią artykułów z różnych zakątków St. Zjednoczonych. Artykuły te, razem wzięte, przedstawiają następujące zagadnienia, mniej lub więcej dojrzałe.

Ustawa Związku nie odpowiada wymaganiom prawnym. Nie przedstawiało to trudności, póki organizacya była małą, ale większe obroty finansowe wymagają ściśle określonych podstaw prawnych. Obowiązkiem najbliższego sejmu jest zaprowadzić odpowiednie zmiany. Członkowie nowowstępujący do Związku muszą ponosić wielkie ciężary, co odstręcza młodzież, przez to procent ludzi starszych jest za duży i zagraża organizacyi śmiertelnością, która może podkopać fundusze Związku.

Reprezentacya grup związkowych na sejmach jest wadliwą, gdyż grupy niezasobne nie mogą wysyłać delegatów z dalszych miejsc, przez co uchwały większości na sejmie często przedstawiają kierunek ruchliwszej mniejszości.

Projekty do zmian w tym kierunku były różne. Jedni sądzili, że koszty podróży delegatów należałoby pokrywać z ogólnej kasy, inni doradzali podział Związku na okręgi terytoryalne lub liczebne, któreby odbywały zjazdy miejscowe i wysyłały swoich przedstawicieli na sejm walny.

Kolonizacyi gruntów na zachodzie przez zbiorowe siły polskie domagano się stanowczo. Związek — mówiono — winien łożyć na zbadanie warunków kolonizacyi.

Wyrażano życzenia zakładania fabryk współdzielczych, szkoły handlowej, zakładów dla starców, kalek i sierot.

Seminaryum nauczycielskie podległo wyczerpującej dyskusyi, zabrano głos w sprawie szkoły przygotowującej Polaków do egzaminów na służbę państwową. Domagano się reorganizacyi domu emigracyjnego na podstawie silniejszego poparcia ogółu.

Inny los spotkał projekty, zapoczątkowane w *Zgodzie* przed sejmem. Trzy sprawy pochłonęły uwagę obradujących, a tak rozjątrzyły umysły, iż prasa klerykalna równocześnie pisała: „Jest to najkrzykliwszy ze wszystkich sejmów, jakie do tego czasu odbył Związek.“

Urzędnicy Związku są chronicznie podejrzywani o drobne malwersacye, o nadmierne wydatki, o zakulisowe konszachty, mające osobiste ambicye na celu. Wreszcie powstał był komitet w Chicago, który postawił sobie za cel śledzić działalność centralnego zarządu Związku. Dwie zasady: demokratycznej krytyki i powagi wybranej przez większość władzy, starły się z sobą omal że nie na pięści.

Klerykalny *Polak w Ameryce* takimi rysami maluje przebieg sejmu: „Delegaci, którzy jeszcze wczoraj wygrażali sobie pięściami, dziś ściskali się i całowali naprzemian. Sejm — szopka, w której pełno bijących się zawadyaków, dyablów, ale nie masz w niej dobrego ducha. Krzesła przelatywały w powietrzu z jednego miejsca na drugie.“

Jednak przy wyborze urzędników ludzie bez wątpienia czyści i szczerej woli otrzymali zaufanie, a podejrzani tylko byli bez miłosierdzia usuwani. Takie postępowanie sejmów nauczy ambitnych, że uczciwością najdalej zajść można.

Pieniądz jest bez wątpienia fałszywą miarą wartości człowieka, jednak jest on nader wierną szalą, na której ważą się wzajemnie różne czyny i pobudki ludzkie. I my lepiej zrozumiemy interesy, skupiające się koło tych wyborów, jeżeli nam za ilustracyę posłuży lista pensyjna urzędników Związku:

Sekretarz generalny,	miesięcznie	100 dol.
Kasyer	„	75 „
Rachmistrz	„	75 „
Pomocnik rachmistrza	„	50 „
Administrator *Zgody*	„	50 „
Bibliotekarz	„	30 „
Gospodarz domu	„	30 „
Redaktor *Zgody*,	rocznie	1,000 „

Pensye te stwarzają wśród ogółu, ściskanego ciągłą walką o grosz, gromadkę ludzi bez materyalnej troski z wszelkimi przywilejami przodownictwa. Nie dziwnego, że o tę zieloną oazę walczą umysły i charaktery, przyczem opinia ogółu wyrabia się, broniąc przystępu niegodnym.

I nietylko klerykali przelewali łzy krokodyle nad burzliwością obrad sejmowych, niezawisły w swych poglądach *Kuryer polski* z Milwaukee zadzwonił również na alarm i to raczej na uciechę opozycyi, niż z rzeczywistej potrzeby. Sejm, choć burzliwy, nie był bezowocnym. Czas płynął szybko wśród swarów; gdy ustawa przyszła na stół, nikt nie mógł dojrzeć końca wywołanych przez nią dyskusyj. Tydzień obrad sejmowych się kończył, palącej kwestyi zmiany ustawy nie można było zawiesić na kołku na dwa lata, przeto przyjęto podany projekt w zasadzie i uchwalono zwołać sejm nadzwyczajny do ostatecznego ułożenia i przyjęcia ustawy.

Najspokojniejszą kartą sejmu były sprawozdania urzędników i komisyj; wyciągamy z nich ciekawe dane: Na sejm przybyło 190 delegatów od 143 grup. Wszystkich grup Związek ma 412, z tych 372 ma prawo wysyłania delegatów. Związek liczy 15.288 członków, posiada 88,441 dol. kapitału. Komisya kolonizacyjna, wybrana dwa lata temu, nic nie zdziałała z powodu braku funduszów. Wydział oświaty ogłosił trzy konkursy, z których żaden nie przysądził najwyższej nagrody. Utworzył 8 biblioteczek wędrownych, skompletował 4 stare, wyznaczył dwa stypendya po 75 dol. dla uczniów szkół średnich; wydał dwie książki, zakupił książek za 25 dol.; posiada w kasie 195 dol. Jest to nader skromny dwuletni dorobek, ale na szczęście nie obejmuje całej działalności związkowców na polu oświaty. Oddzielne Towarzystwa w różnych miejscowościach pracują na tem polu samodzielnie a gorliwie. Sejm przeznaczył na cele oświaty 500 dol. Wydział wsparć otrzymał w ciągu roku 167 dol.; udzielił pomocy w 10 wypadkach. Jest to pierwszy krok na tej drodze. Ofiary, złożone na różne cele publiczne za pośrednictwem *Zgody*, wynoszą 7,450 dol.

Komisya Domu związkowego dała bardzo zadawalające sprawozdanie co do Domu w Chicago, ale poleciła więcej domów nie stawiać. Sejm zastosował się ściśle do tej rady, odmawiając delegacyi z Buffalo funduszów na ten cel. Odtąd Chicago staje się nieodwołalną siedzibą zarządu centralnego. Inne miasta mogą wznosić domy związkowe z miejscowych kapitałów. Dom taki posiada już Grand Rapids, a obecnie wznosi się drugi w Buffalo.

Oddawna już Chicago nosiło się z myślą założenia związkowego dziennika. Energiczni jego zwolennicy uzyskali poparcie sejmu, który polecił swym członkom i grupom przystępować do wydawniczej spółki akcyjnej. I rzeczywiście wkrótce po sejmie w grudniu z. r. wyszedł pierwszy numer *Dziennika Narodowego*. Pismo to, pro-

wadzone przez M. Sadowskiego, zyskało wkrótce licznych czytelników i przyjaciół.

Znaczenie związku, jako instytucyi, przez którą inicyatywa silnych indywidualności działałaby na postępowy ogół polonii amerykańskiej, jest dopiero w zaraniu i może się świetnie rozwinąć.

Wątłe są nici łączące tę na ziemi obcej lecz nawskróś rodzinną organizacyę z macierzą, lecz pamięć ich ponawia się na każdym sejmie i przybiera formę mianowania honorowymi członkami związku wybitniejszych obywateli ze starego kraju.

Praktyka ta, obojętna może dla uczczonych, ma w Ameryce nieraz znaczenie wychowawcze.

Ostatni XIII sejm związku między innymi wybrał na swych honorowych członków Piotra Chmielowskiego i Tadeusza Korzona. Nazwiska te i ich znaczenie znane były tylko kilku inteligentnym jednostkom; ale poddane pod ogólne głosowanie musiały zostać przedstawione w całym blasku literackich zasług, aż wreszcie zapał ogarnął słuchaczy, nazwiska zapisano do złotej księgi moralnych patronów związku, a pamięć ich działalności zapadła w serca jako część dorobku sejmowego.

Wogóle sejm ten, choć bardzo okrzyczany, musi jeszcze pozostać przez czas dłuższy klejnotem niewiadomej wartości. Oprawa nieraz świadczy o wysokiej cenie osadzonego w niej kamienia, a oprawa naszego sejmu była zaiste świetną.

Miasto Grand Rapids, gdzie się sejm odbył, jest drugorzędnem miastem stanu Michigan i sejm organizacyi polskiej pochłonął całą jego uwagę. Amerykanie, ceniący organizacyjną pracę, uczcili związek licznemi telegramami. Merowie miast Chicago i Buffalo przesłali swe życzenia. Mer m. Buffalo p. Diehl zapraszał przyszły sejm do swego miasta, gdyż właśnie w 1901 przypada tam wszech - amerykańska wystawa.

Gubernator stanu Michigan, znany reformator Pingree, wziął udział w pochodzie po mieście wraz ze swym przybocznym sztabem i generałami milicyi stanowej. Wobec uznania obcych szykaną niskiego rzędu wydał się postępek miejscowego księdza polskiego: odmówił on odprawienia nabożeństwa na intencyę sejmu. Podobno postąpił tak z inicyatywy biskupa.

Po sejmie walka dwóch obozów rozgorzała w pismach. Klerykali traktowali związek w tonie ironicznego współczucia, jako obalonego już przeciwnika. Oto jeden motyw z tej dysharmonii, wzięty ze szpalt *Polaka w Ameryce*: „*Zgoda* złorzeczy *Kuryerowi Polskiemu*... a tym katolicko-polskim gazetom, które przyrzekły, że z chrześciańskiej miłości uszanują niemoc Związku, zapowiada, że on nie potrzebuje żadnej litości, i, gdyby nawet już i konał, to i tak będzie sobie drwił i kopał nogami swych przeciwników. Obóz katolicki zawsze był pobłażliwy dla największych nawet wrogów. Nieraz już dla dobra całego społeczeństwa polsko - amerykańskiego i w imię zasad chrześciańskich podawał on szczerą rękę do zgody, chcąc waśń braterską złagodzić i siły jednością wzmocnić. Związek dłoń tę nieraz pozornie przyjmował, lecz po to tylko, by ją później ukłóć. Warunki kompromisu między obozem klerykalnym a Związkiem mogą być jedynie takie, by Związek ze swego grona wykluczył bezwyznaniowców z przekonania i bezwyznaniowców dla karyery i interesu, by oczyścił się z trądu niezależnego.

Niekatolicy mogą być tolerowani w Zw. o ile nie będą pałali nienawiścią do kościoła katolickiego."

To nie są warunki kompromisu, lecz warunki dalszej walki, a tymczasem szereg ważnych spraw czeka swojej kolei.

Sejm nadzwyczajny Zw. odbył się w marcu i przyjął starannie opracowaną nową konstytucyę, ułożoną w duchu potrzeb prawnych.

Do różnych związków przybył nam jeszcze jeden, mianowicie towarzystwa kobiece założyły związek Polek, mający na celu ubezpieczenie na wypadek choroby i śmierci.

Ostatnią korespondencyę zamknęliśmy wspomnieniem pośmiertnem ks. Barzyńskiego. D. 8 kwietnia umarł w Chicago Michał Józef Sadowski-Pankiewicz, redaktor *Dziennika Narodowego* i vice-cenzor Związku, a przez 4 lata sekretarz generalny tej organizacyi. Zmarły przez lat blizko 20 pracował na polu dziennikarstwa polskiego w Ameryce. Był redaktorem pierwszych dwóch krótkotrwałych dzienników w Chicago, po 1887 r. osiadł na stałe w Buffalo, gdzie powołał do życia *Echo*, pismo zawsze wiernie służące sprawie związkowej, i założył czytelnię, nader pomyślnie się rozwijającą.

M. J. Sadowski-Pankiewicz był synem znanego pedagoga Pankiewicza, zmarłego przed rokiem w Warszawie.

Parę miesięcy przed M. J. Sadowskim zstąpił do grobu Apolinary Karwowski, zwany nieraz papieżem niezależnym, gdyż był najwytrwalszym szermierzem w obronie kościoła narodowego.

H. S.

IDEAŁ PRAWDY

ze stanowiska hygieny ciała i duszy.

Odczyt publiczny na Osady rolne.

III.

Wielka zagadka duszy ludzkiej nie da się rozwiązać przez samo zbieranie materyału, chętnie nazywanego przez beletrystów francuskich dokumentami duszy ludzkiej, pod postacią odczynów jej na wrażenia życiowe, choćby materyał ten był jak najobfitszy i jak najprawdziwszy. Trzy są rzetelne metody, mające nas przybliżyć do prawdy, która się nazywa duszą ludzką. 1) *Psychofizyka*, młoda gałąź nauki, bada doświadczalnie prawa rządzące objawami ducha w najściślejszym ich związku z cudownym iście układem mozgo - rdzeniowym. 2) *Psychiatrya*, tj. nauka o zboczeniach umysłowych, dzięki zboczeniom chorobowym, otrzymuje w szczególnem wypukleniu, że się tak wyrażę, w ilościowym przeroście, pewne oddzielne składniki ducha, dające się tym sposobem lepiej obejrzeć i poznać, a przytem z powodu zahamowania lub zaniku innych jego składników, otrzymuje w wyosobnieniu mechanizmy, które w stanie normalnym pokryte są i powikłane całością współczynników ducha, przez co mechanizmy te może rozjaśniać. 2) *Psychologia*, która dwoma torami zdąża do poznania duszy ludzkiej: *a*) przez analizę podmiotu myślącego, czującego, chcącego, wolnego i zniewolonego; *b*) przez analizę objektywną ludzi myślących, czujących i działających w kierunku wypadkowej czynników wewnętrznych i zewnętrznych. Tak samo jak analiza czynników składowych podmiotu, dopiero na mocy syntezy dać nam może pewną sumę prawd dotyczących poznania duszy naszej, a streszczających się w tem, co nam dała zwłaszcza starsza, t. zw. nauka psychologii, tak też i poznawanie odrębnych faktów psychologicznych przedmiotowo spostrzeganych, uledz musi głębszej analizie i następczej syntezie, aby wzbogaciło nas prawdziwem zdobyciem cząstki prawdy w dziedzinie zagadki ducha ludzkiego.

Otóż materyał dla myśliciela, który dorósł do analizy i syntezy objawów duszy ludzkiej, stanowią: 1) spostrzeżenia i doświadczenia życiowe; 2) dzieje; 3) życiorysy wybitnych ludzi; 4) kryminalistyka. Przybywa tu cały zasób materyałów psychologicznych, dostarczanych przez powieściopisarzy, dramaturgów i poetów. Ideałem wielu pisarzy jest prawda psychologiczna. Otóż śmiałbym twierdzić: po 1-sze: Z wyjątkiem umysłów genialnych, które dzielnością i głębokością postrzeżeń zdołali przedstawić *najprawdziwsze* objawy myśli, uczuć, woli i niewoli ludzkiej, najprzeważniejszej ich liczby, wysoce nawet utalentowanej kreacye psychologiczne wychodzą nie bez pewnego piętna podmiotowego indywidualności pisarza. Przejawy psychologiczne, w utworach literackich zawarte, są *prawdopodobieństwami* bardzo dokładnemi, ale, bądź co bądź, nie *prawdami* mającemi wartość prawdy istotnej, przedmiotowo stwierdzonej — a wszakże tylko takie prawdy mogą być materyałem dla analizy i syntezy naukowej, mającej budować prawdy ogólniejsze. Po 2-gie): Ponieważ utwory literackie nie są i być nie mogą fotografią z natury, bo byłyby chyba tylko zbiorami dokumentów, archiwami rodzinnemi, kroniką albo dziennikiem itp., przeto spostrzegane nawet rzeczywiste momenty psychiczne muszą być artystycznie obrobione, muszą wejść w atmosferę faktów interesujących i w tło zajmujące, które w przeważnej części znowu być muszą owocem wyobraźni i fantazyi autora. Prawda psychologiczna w sztuce jest zawsze prawdą dla sztuki, ale nie prawdą dla wiedzy.

Ponieważ *prawda*, jako taka, prawda cząstkowa w znaczeniu cegiełki do budowy wielkiej świątyni prawdy, jest w twórczości artystycznej bardzo podrzędnego znaczenia, tak że ją prawie pominąć można zupełnie w bogactwie się istotnem *wiedzy ludzkiej*, wiedzy, która jest skarbnicą prawd istotnych, przeto musi ona mieć jakieś znaczenie odrębne. Tam prawdę naśladujemy dla sztuki, w nauce prawdę zdobywamy dla dobra. Niema, sądzę, bezmyślniejszego frazesu nad utarty tak zresztą: „sztuka dla sztuki." Jak *dobro* nie istnieje dla *dobra*, ale dla człowieka, jak prawda nie dla prawdy, ale dla dobra, a więc pośrednio dla człowieka, tak i *sztuka* nie dla sztuki istnieje, ale dla człowieka, jak i najistotniejszy czynnik w sztuce, piękno, istnieje dla człowieka i przez człowieka. *Piękno* jest stanem świadomości naszej, będącej wypadkową danych warunków świata zewnętrznego, budowy naszych urządzeń zmysłowych i istoty własnego ducha naszego. Wielkie piękno natury jest pięknem przez nas i dla nas. Jeżeli pomyśleć można o *prawdzie* samej w sobie, o absolucie prawdy bez człowieka, jeżeli pomyśleć można o *miłości* samej w sobie li jako o intencyi bez istniejącego przedmiotu i czynu miłości i to tylko o miłości jako genetycznym elemencie *dobra*, ale już nie o absolucie dobra — to zupełnie pojąć nie możemy *piękna* samego w sobie. Piękno istnieje tylko przez człowieka i dla człowieka. Nie rozumiemy tego w naiwnem znaczeniu piękna jakoby stworzonego dla człowieka: w takim razie bowiem nasuwałby się zarzut: pocóż rośnie i dla kogo wonny i barwny kwiat na niedostępnej dla stopy ludzkiej skale urwistej, pocóż cuda wschodu i zachodu słońca na bezludnej pustyni, pocóż piękne krajobrazy morskie na dalekich biegunowych strefach, kędy żaden nigdy nie zabielił się żagiel? itd. itd. Niewątpliwem jest to, że ani kwiat nie jest pięknym, ani krajobraz, jeśli człowiek ich nie widzi, ta bowiem gra barw i świateł, te wonie, szmery i dźwięki stają się *pięknemi*, dopiero w chwili, gdy przez misterne ludzkie zmysły przeniknął do cudownej krainy ludzkiej świadomości. Warunków piękna może być dużo na ziemi i tam, gdzie one dla człowieka nie będą nigdy źródłem zachwytu, ale tam, gdzie one zachwyt budzą, budzą je tylko dzięki fizycznej i duchowej organizacyi człowieka. Piękno przeto, czy stworzone bezpośrednio przez siły przyrody, czy przez

przyrodę, ale za pośrednictwem geniuszu ludzkiego, istnieje nie dla piękna, ale dla człowieka, a że piękno stanowi przeważny składnik sztuki — sztuka też przeto istnieje nie dla sztuki, ale dla człowieka. Drugim arcyważnym składnikiem sztuki, i to dziś, przez pewne szkoły na główny plan wywiedzionym, jest *prawda*. Prawda istnieje jako absolut nieprzystępny świadomości ludzkiej, z chwilą, gdy pewne strony tego absolutu przenikają do świadomości naszej, prawda staje się *prawdą dla człowieka* i, jak rzekliśmy, staje się źródłem dobra pod warunkiem, że przenika do odpowiednio przystosowanej czy przygotowanej świadomości. Prawda, jak światło, musi dla pewnych wzroków być przepuszczaną przez szkła mniej lub więcej zadymione, musi być nieraz przez pryzmat troskliwej krytyki umysłów wyższych przełamywaną, na oddzielne rozszczepianą promienie barwne i tylko w cząstkowych promieniach danym oczom odsłanianą. Tylko że w dziedzinie światła słonecznego ogółowi dostępnem jest bez szkody pełne światło słońca, dla wyjątków tylko trzeba ograniczeń, gdy w dziedzinie światła prawdy zachodzi stosunek wprost odwrotny: wybrańcom dostępną jest bez szkody naga prawda w całym jej blasku i groźnym nieraz majestacie, a dla ogółu ta nagość lśniąca niebezpiecznie jest oślepiającą, ten jasny majestat jej, łacno wywołać może zamiast rozjaśnienia zamroczenie sądu!

Jeżeli prawda zdobywana jako taka, prawda rzeczywista, prawda, która z treści tajemnic przeobraża się w wiedzę rzetelną, prawda, która niezachwianie rozszerza dziedzinę gleby urodzajnej, na której coraz to bujniej dojrzewają ziarna dobra powszechnego — jeżeli ta prawda z konieczności pedagogicznej tak umiejętnie i subtelnie być musi i rzeczywiście bywa dawkowaną, by miasto pożytku nie przyniosła szkody — to czyż prawda naśladowana, *prawda* będąca w istocie rzeczy tylko prawdopodobieństwem, a która dla oczu niedość krytycznych łacno uchodzić może za prawdę rzeczywistą, słowem prawda w sztuce i literaturze czyż może nie ulegać żadnym zgoła prawom dyktowanym przez interes społeczny? przez wymagania społecznej hygieny ciała i duszy? Zaiste, że nie! Cechą wewnętrzną *prawdy w sztuce*, jest mała jej wartość gatunkowa, w porównaniu z wartością prawdy w nauce. Cechy zewnętrzne prawdy w sztuce stanowią: 1) Pozór prawdy oryginalnej do złudzenia. 2) Wielka przystępność. 3) Strój ponętny, który podnosi wysoce łaknienie jej i sprzyja jej rozpowszechnianiu i przesycaniu się nią.

Wobec wielkiej ponętności formy, warunków zresztą wprost technicznych łatwego rozpowszechniania się dzieł sztuki i literatury, kto z przyjaciół ludzkości, który z kochających społeczeństwo swoje obywateli ośmieli się zaprzeczyć, iż prawda, stanowiąca treść utworu sztuki, winna być taką, aby rozpowszechnianie jej nie przynosiło społeczeństwu szkody?! Czyż jest ktokolwiek, ktoby sądził, że do teatru anatomicznego, do szpitala nieuleczalnych, do domu obłąkanych i to do każdej celi, bez względu na zachowywanie się w danej chwili nieszczęśliwego obłąkanego lub obłąkanej, na arenę każdej spełniającej się zbrodni, bezkarnie wprowadzać można każdego, bez względu na wiek, płeć, wrażliwość indywidualną, dojrzałość umysłową?

Wszak wprowadzanie odpowiednio usposobionych osobników do sali rakowatych, epileptyków, lub dotkniętych innemi odstręczającemi chorobami, nabawić ich może łatwo ciężkich cierpień układu nerwowego, często nieuleczalnych. Czyny obrażające poczucie moralności w domu idyotów albo obłąkanych, lub na życiowej arenie zbrodni i występku, mogą dzięki potężnemu wpływowi zarazy moralnej, wtrącić niepowołanego świadka w otchłań moralnego zwyrodnienia.

Czyliż więc dowodzić trzeba, że prawda w sztuce, jeśli przedstawia szkaradę fizyczną lub moralną, jeżeli wogóle bez wyboru objawiana jest tysiącom, zrodzić może najbłędniejsze mniemania o zjawiskach życiowych, na które rzuca jaskrawe światło lub zwraca szkła powiększające przesubtylizowanej analizy. Tylko biegły mikrograf rozezna włos od włókienka lnu pod drobnowidzem, dla niedoświadczonego, nadto rozjaśniony lub powiększony obraz przedmiotu stanie się właśnie zaciemnionym i do błędnych doprowadzi wniosków bezsprzecznie. Czyż dowodzić trzeba, że prawda w sztuce może wysoce być szkodliwą fizycznie i moralnie, gdy bez wyboru za treść utworu sztuki będzie podejmowaną? A przyznać trzeba, że właśnie t. zw. literatura piękna, zwłaszcza we Francyi jęła wprowadzać do swych utworów prawdę bez wyboru, prawdę niemożliwie skandaliczną, prawdę szkaradną fizycznie i moralnie, a do tego podawać ją w kolorycie tak ponętnym, że wywołuje wprost łaknienie jej oglądania. W ostatniej dobie usuwa nawet piękno na plan dalszy byle na pierwszy wywodzić prawdy psychologiczne, życiowe, bodaj hakiem śmietniczym wyciągać je na światło dzienne z ostatnich przepaści nędzy moralnej i kalectwa fizycznego. To samo odnosi się do malarstwa, że wskażemy tylko liczne szkarady Ropsa, albo cykl historyczno-pornograficzny Anny Castenoble. Zapominają ci kapłani sztuki, że prawdę się zdobywa na innych zupełnie drogach. „Sztuka“ powiada wyraźnie jeden z wybitniejszych przedstawicieli dekadentyzmu współczesnego, „w naszem pojęciu nie jest „piękno,“ „ale jest odtworzeniem istotności a więc duszy. I to duszy, czy się w wszechświecie, czy w ludzkości czy w pojedynczem indywiduum przedstawia,“ „jest ona objawieniem duszy we wszystkich jej stanach i śledzi ją wszędzie.“ Jest więc sztuka zdaniem tego pisarza poznawaniem, poznawaniem prawdy bardzo doniosłej. Pomijając błędność poglądu tego, gdy poznawanie prawdy odbywa się gdzieindziej, a zwłaszcza badanie prawdy we wszechświecie, która jest zupełnie obcem, nieprzystępnem sztuce, nie można nie oburzyć się na inną tezę tegoż przedstawiciela dekadentyzmu, który twierdzi, że „substrat naszej sztuki istnieje zupełnie niezależnie od tego, czy jest dobrem lub złem, pięknem czy brzydotą, czystością czy harmonią, rozpasaniem, zbrodnią czy cnotą...“ „Artysta nie służy żadnej idei, żadnemu społeczeństwu, stoi po nad życiem, po nad światem nawet!“

(C. d. n.).

Dr. H. Nusbaum.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Na wystawę.

Oba światy naszego społeczeństwa rozwiązują obecnie to samo zagadnienie: chłopski rozmyśla nad tem, jak dostać się na zarobek do Niemiec i przywieźć trochę oszczędności do domu, pański nad tem — skąd wziąć pieniędzy dla odwiedzenia wystawy paryskiej i przywieźć z niej dużo wspomnień. Pierwszy pozostawmy bez troski jego znanej sztuce karmienia się powietrzem i zastępowania środków komunikacyjnych własnemi nogami: genialny Maciek nie zginie, a po powrocie z krajów, których geografii i języka nikt go nie nauczył, „przykupi“ sobie jeszcze jakiś „zucholek“ tej ziemi, która po za kresami jego własności wystawiona jest na sprzedaż. Natomiast zajmijmy się kłopotem drugiego świata — pańskiego. Rzeczywiście jest to orzech z kamienną łupiną. Pomimo bowiem wszystkich ulg, udogodnień i zniżek w cenach przejazdu, ostatecznie za podróż do Paryża zapłacić trzeba. Ale koszt biletu kolejowego jest jeszcze drobnostką w porównaniu z wydatkami na mieszkanie i życie. Zauważono przytem, że chcąc zajrzeć tylko do główniejszych pawilonów z „niespodziankami,“ ciekawi będą musieli na karty wstępu wydać sto kilkadziesiąt franków. Słowem, cała „impreza“ przedstawia się bardzo słono, a tu banki pobierają od pożyczek 10%, lombardnicy i ich kuzyni 20—30%, dawne długi niepokryte, dzieci nie mają letnich ubrań, żona nie zrzeka się nowej sukni i kapelusza, a twierdzi całkiem zasadnie, że ona ma również prawo zobaczenia wystawy, słowem, ciężki krzyż, który koniecznie dźwignąć trzeba a nie można. To też zdaje mi się, że najważniejszą sprawą społeczną, stojącą dziś na porządku dziennym, wymagającą gruntownego namysłu i szybkiego rozstrzygnięcia, jest kwestya wystawy paryskiej — już otwartej.

Od kilku tygodni z nieprzerwaną uwagą śledzę w gazetach zagranicznych, czy kwestya ta trapi w podobnej mierze inne narody, oddalone od Francyi i nieposiadające szczególnego, polityczno-ekonomicznego interesu w zajęciu się owym wszechświatowym turniejem. Szczególnie obserwuję Szwecyę z Norwegią, Danię, Grecyę itp. Czy prasa źle odzwierciedla obrazy ich życia, czy może mają one inne pragnienia, dość że nie dostrzegłem tam ani tych wystawowych marzeń, ani tych strapień, które nas nękają. Ponieważ zaś ich kultura umysłowa i materyalna przewyższa naszą i zwłaszcza niektóre z nich mogłyby się popisać na turnieju wszechświatowym poważną siłą wytwórczą (zwłaszcza Skandynawia), więc widocznie w porównaniu z nami są leniwsi, obojętniejsi, a może zresztą mają jakiś inny rozum, który tu nad Wisłą straciłby swą wartość. Niech im służy, a my słuchajmy swojego chociażby z tej słusznej racyi, że gdyby — jak mniema pewien filozof — wszystkie rozumy wyniesiono na targ, każdy kupiłby... własny.

Kogo tedy u nas interesuje wystawa paryska?

Naprzód niewątpliwie przemysłowców. Nie znam tak dokładnie wymiany i obiegu towarów w Europie, ażebym mógł stanowczo orzec, czy i jakie przetwory nasze płyną szerszem łożyskiem za granicę. Wiem, że idą tam w dużych masach materyały surowe, zwłaszcza zboże, ale te nie ukażą się na wystawie. Podążą tam tylko przeroby. Te wszakże chyba nie marzą o zdobyciu rynków zachodnich. Nie sądzę, ażeby polskie produkty tkackie, hutnicze, garbarskie, cukrownicze itd. łudziły się nadzieją zwycięzenia francuskich, niemieckich lub angielskich. Takie fantastyczne sny nie nawiedzają fabrykantów naszych. Więc po co oni z ogromnymi kosztami posyłają swe wyroby do Paryża? Ażeby uzyskać odznaczenia hypnotyzujące tutejszych spożywców. Polski szewc, garbarz, piwowar, manufakturzysta, wiedzą, że nagroda lub pochwała, otrzymana na wystawie rozszerzy im zbyt na rynkach miejscowych. Jest to więc poprostu sprowadzanie sobie sławy z zagranicy, stęplowanie swej firmy pieczęcią obcą, której uroku i siły nie zastąpią najwymowniejsze dowody uznania w kraju. Polka, której ks. Walii rzucił do powozu bukiet podczas zabawy kwiatowej na Rivierze, wydaje się swym rodakom i... rodaczkom najpię-

kniejszą kobietą, podobnie skora warszawska, którą wyróżniono na wystawie, będzie najbardziej poszukiwaną przez naszych szewców. Naród wprzódy tworzy znakomite dzieła talentu i pracy, niż nabywa prawo uznania ich za znakomite dla siebie samego. Kiedy Sienkiewicz ogłosił swoje „Szkice węglem,“ wydrwiono go w tych samych pismach, dla których dziś jest półbogiem, a chociaż później odwrócono się ku niemu innym frontem, znaczna część jego sławy wypłynęła z powodzeń za granicą. Gdyby cesarz austryacki — jak to uczynił przed paru laty na wystawie wiedeńskiej z jabłkiem czeskiem Holovous — oświadczył, że polska Jedwabnica jest najsmaczniejszą gruszką, szkółki drzew wyczerpałyby się ze szczepków tej odmiany, owocarnie sprzedawałyby ją po najwyższych cenach, a spożywcy zapewnialiby się wzajemnie, że jest ona rzeczywiście najwyższym przysmakiem, z którą nie może się mierzyć nawet nektaryna. Naszego też przemysłowca, uczestniczącego w wystawie paryskiej, wcale nie obchodzi Europa, a tem mniej ujścia handlu zamorskiego, lecz te ryby, które pływają w miejscowym stawie lub sąsiednich i które on chce łapać na wędkę turniejowych znaczków. Można ubolewać nad tem, że aż z Paryża dowiadujemy się, u kogo mamy w Warszawie kupować gwoździe lub czekoladę, ale trzeba się zgodzić, że fabrykanci gwoździ i czekolady rozumieją dobrze swój interes, starając się tak daleko o trąbę reklamową.

Za nimi dążą artyści; głównie malarze. Są to może jedyni u nas wytwórcy, którzy tą drogą chcą się dostać na odleglejsze rynki. Rzeczywiście obrazy polskie rozchodzą się po całej przestrzeni cywilizowanego świata. Czy to się uda wielu tegorocznym uczestnikom polskim wystawy paryskiej — należy wątpić, gdyż do turnieju nie stają wyłącznie mistrze; ale w zasadzie jest to gra, która obiecuje korzyści.

To są wystawcy.

Co do gości powędruje nad Sekwanę gromadka techników, inżenierów, kupców, pragnących i potrzebujących obejrzeć w licznym zbiorze i najlepszych okazach wytwory pomysłowości i pracy ludzkiej, ażeby zbogacić swoją wiedzę, albo też wybrać sobie na olbrzymiem targowisku pożądane przedmioty do obrotów handlowych.

Cała ta wszakże rzesza, której pojedyncze drużyny możnaby jeszcze dopełnić innemi grupami, pociągniętemi przez interes lub naukę, stanowić będzie w wędrówce naszej na wystawę bardzo małą cząstkę. Przeważnie zaś wypełni ją tłum, który skwapliwie posyła swe oczy na każde jaskrawe widowisko i nie może znieść tej myśli, ażeby bez niego odbyło się jakiekolwiek hałaśliwe skupienie ludzi. Jeden z tych Maćków, którzy obecnie odlatują do obcych krajów na zarobek, pytał mnie raz: „dlaczego porządne panowie gromadzą się około rozbitej beczki lub konia, który upadł na ulicy? — przecież — mówił on — to nie żaden cud, a nikt nawet w takiej okazyi nie pomaga, tylko się przypatruje. Dlaczego się to dzieje, objaśnić go nie umiałem, ale wiem, że wszyscy uczestnicy takich galeryj ulicznych, o ile mają pieniądze, jeżdżą na wystawy. Nasza psychologia jest nadzwyczaj niedokładna: wylicza ona bowiem rozmaite właściwości naszej duszy bardzo podrzędnego znaczenia, a opuszcza tak ważny i tak powszechny zmysł, jakim jest gapiostwo. Mniej więcej oznaczyliśmy, ile człowiek potrzebuje spożyć białka, mydła, książek i innych zasiłków niezbędnych dla życia, a wcale nie badamy, ile on potrzebuje nagapić się. Tymczasem jest to jeden z największych głodów natury naszej. Daleko łatwiej możemy wyrzec się ciepłej odzieży, pokarmu, wzruszeń estetycznych, niż nakarmienia oczu widokami, które prześlizgują się po naszym umyśle i sercu luźnie, bezładnie, z powierzchowną łachotliwością. Wysypujemy się w pewnych porach tłumnie na ulice, gdzie w kurzu i ścisku włóczymy się całemi godzinami bez celu, planu i żywszej przyjemności. Gdyby wówczas można było w kinematografie odbić duszę takiego gapia, zobaczylibyśmy szereg wrażeń: przystojna panna ze skudlaną głową, w żółtych trzewikach — nasz dawny nauczyciel w wykrzywionych butach — młody bankier, który jeszcze nie umie siedzieć w powozie, chociaż ma dobrane konie — żydówka jedząca ziarna słonecznika — pomalowana dama uwydatniająca Alpy swego ciała — stary umizgus, przypatrujący się natrętnie ładnej piastunce — kokota w czerwonym kapeluszu z zielonem piórem, przejeżdżająca konno — i tak dalej. Wszystkie te obrazy nie wiążą się, nie utrwalają swych śladów, nie potrącają żadnego uczucia i nie wywołują żadnej myśli. A jednak syczą, zapełniają jakąś próżnię. Jeżeli rozum jest żołądkiem, który trawi spostrzeżenia, to gapiostwo jest workiem, który je tylko w siebie wkłada.

Podstawcie zamiast powyższych obrazów inne: maszynę do wyciągania drutu, globus z dziesięciometrową średnicą, perskie dywany, rzeźby w japońskim metalu, chatę buszmańską, zegar w żywym pniu palmy kokosowej — a będziecie mieli odbicie duszy gościa wystawy. Zmęczony, zziajany, głodny, wycieńczony jak gdyby dziesięć mil przeleciał ze strasznem doniesieniem, uwija się on po placu, przebiega z jednego pawilonu do drugiego, wszystkiemu się przypatruje, niczego dokładnie nie widzi, o niczem nie ma jasnego pojęcia, wszystko podziwia, nie wiedząc dlaczego, wreszcie siada bezwładnie na ławce i usiłuje zapanować nad niemocą nóg, nad suchością ust i nad chaosem wyobrażeń, który mu się kotłuje w głowie. A gdy przed kilkunastu laty taki męczennik opuszczał Paryż, powtarzał tylko sobie i innym.

— O, tak wieża Eiffla jest bardzo wysoka.

Dla przekonania się o tem, że wieża Eiffla jest wysoka, a obecnie, że globus na wystawie jest ogromny, tłumy naszych rodaków wywoziło lub wywiezie tysiące rubli ciężko zapracowanych, z trudem pożyczonych albo wyrwanych najpilniejszym potrzebom.

— Hej, Wojtek — zawołał z wagonu w kolonii dziedzic odłużonego folwarku — a ty tu co robisz?

— Wygrzebuję talary z piasku. A pan dokąd?

— Na wystawę do Paryża.

— Z czem?

— Z pieniędzmi.

— A po co?

— Nie twój rozum.

— Wiem, że nie mój, tylko Icka.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Anton von Kostanecki: *Der wirthschaftliche Werth vom Standpunkt der geschichtlichen Forschung.* Versuch einer Morphologie des wirthschaftlichen Werthes. Berlin, 1900.

Gdyby mi ktoś pewnego dnia opowiedział, iż p. Kostanecki nosi popielaty cylinder, chustkę jedwabną na szyi, wysoki kołnierzyk i aksamitny tużurek, słowem, że Kostanecki ubiera się podług mody, którą oglądamy jeszcze dziś na portretach naszych dziadów, nie zdziwiłbym się ani na chwilę. „Styl — to człowiek,“ a rynsztunek stylowy, jego warsztat metodologiczny i przybory myślenia przypominają zaśniedziałego profesora niemieckiego. Niechaj mi będzie wolno być prorokiem. Jeśli p. K. zostanie kiedyś profesorem niemieckim, to jestem pewien, iż nietylko w słotę będzie nosił pod pachą dwa parasole — jeden na wypadek zapomnienia, a drugi dla ochrony od ulewy — ale będzie dzielił wykład swój na trzy części, każdą część na trzy rozdziały, każdy rozdział na trzy paragrafy, będzie grzązł po kostki w kazuistyce, bawił się w analogie i włoskowate rozczłonkowywanie pojęć, uprawiał schematyzm, a myśli swe otaczał barykadami — niech się przyszły pan profesor nie lęka sążnistych okresów i nawiasów. Oblicze p. Kostaneckiego rozpromienia się na samą myśl, iż istnieją cztery formy papierów wartościowych, a jednocześnie chyba wskutek jakiegoś mistycznego związku — cztery formy konta buchhalteryjnego (str. 162), że istnieją trzy formy kija karbowego i — pomyśleć tylko — również trzy stopnie rozwoju pewnej szkoły teoryi wartości. Prawdziwa kabalistyka Pytagorasa, godna sennika egipskiego. Autor, prowadząc nas do celu, każe nam brnąć przez wąwozy 24-wierszowych (str. 156) i 31-wierszowych (str. 161) okresów, przeciętych nawiasami 8-wierszowymi (str. 200). Idąc za nim, musimy gramolić się po stromych, wązkich ścieżkach, któremi posługiwano się jeszcze przed powstaniem szosy w danej okolicy i ze zdziwieniem spostrzegamy, iż ową drogę moglibyśmy odbyć koleją. Stąd trudności p. K. wydają się nam urojonemi i śmiesznemi, a jego kłopotów naukowych nie możemy brać do serca. Lecz niemiecki pedant z *Fliegende Blätter* ma i swoje zalety; i tu p. K. nie sprzeniewierzył się swemu ideałowi. Sumienność jego zadziwia, jego opisy instytucyj prawno-ekonomicznych, ich powstania i rozwoju przypominają obrazy Leibla, gdzie każdy włosek jest oddany z największą dokładnością. Autor, rozmiłowany widocznie w studyach historycznych, z bezprzykładną drobiazgowością rysuje środowisko społeczno-ekonomiczne, w którem rodzi się instytucya, przyczem liczy się oczywiście ze swymi poprzednikami, zna na wylot literaturę swego przedmiotu i bezstronnie ocenia przeciwne zdania rozmaitych uczonych. Z tego punktu widzenia praca robi wrażenie poważnego dzieła, a autor — obytego z nauką erudyty.

Jakże przedstawia się treść pracy rozbieranej? Autor usiłuje dać nam morfologię tak zwanej wartości ekonomicznej, tj. rozbiera formy, w których — jego zdaniem — ucieleśniła się; rozpatruje mianowicie rozwój papierów (tak zwanych) wartościowych, od najbardziej nikłych zarodków, obiecując na przyszłość obdarzyć nas filozofią wartości ekonomicznej, czyli przedstawić „ideę psychologiczną“ wartości. Pięknie! Lecz przedewszystkiem nasuwa się pytanie, co autor rozumie przez „wartość“? Jak wykazał Gottl, istnieje w nauce 20 kilka rozmaitych określeń tego pojęcia. Mówić zatem o wartości ekonomicznej, nie podając jej dokładnego rysopisu, znaczy rozprawiać o niebieskich migdałach. Zachodzi nawet wątpliwość, czy to ostateczne pojęcie ekonomii politycznej ma naukową racyę bytu. Przynajmniej ten sam Gottl drogą głębokich wywodów podważył teoretyczno-poznawcze stanowisko wspomnianej kategoryi; inny zaś ekonomista z młodszej generacyi (Sulzer) zastępuje ją wprost bez wszelkich ceregieli pojęciem użytkowości, a najnowszy teoretyk pojęcia wartości (O. Heyn) prawie utożsamia je z użytkowością. Pan K. tymczasem medytuje i rozprawia sobie o „wartości,“ jako o rzeczy mającej kredyt ustalony w nauce. Autor nie budzi się ze swej śpiączki dogmatycznej nawet wtedy, gdy jest mowa o kierunkach tej tak zwanej nieszczęsnej wartości ekonomicz-

nej. Scharakteryzowawszy trafnie obie szkoły, traktuje je równoprawnie, jak gdyby można było służyć dwu bóstwom: owszem, i to jest możliwe, lecz w takim razie trzeba dowieść, że jest to jedno bóstwo w dwu osobach. Autor uspakaja swe sumienie uwagą, iż jedna szkoła ma teoryę wykończoną systematycznie, pozbawioną za to charakteru społecznego, podczas gdy druga stanowi jej przeciwieństwo. Ponieważ — ciągnie dalej autor — morfologia kija karbowego, o którym mowa niżej, odznacza się również budową systematyczną obok braku pokroju społecznego, to musi ona — ta morfologia — mieć gdzieś na świecie swą antytezę — tem jej przeciwieństwem jest morfologia posiadania (str. 714).

Oto próbka koziołków naukowych autora. Można śmiało twierdzić, iż cała książka nie ma nic do czynienia z tak zwaną „wartością ekonomiczną“ i może dopiero epilog filozoficzno-psychologiczny rzuci światło na tę kwestyę. Pomimo to, książka jest cenną. Materyał faktyczny, nagromadzony przez autora, przedstawienie genealogicznego drzewa papierów wartościowych w formie syntetycznej jest, o ile mogę sądzić, w literaturze prawno-ekonomicznej zupełnie czemś nowem i stanowi ważny nabytek dla nauki.

P. K. za punkt wyjścia obiera kij karbowy, symbol prawny pierwszorzędnej wagi w społeczeństwach pierwotnych. Autor odróżnia 4 formy kija. Popierwsze, rozszczepione lub całe patyki, którymi posługiwano się przy peryodycznym podziale ziemi gminnej drogą losowania; i powtóre pręty bez wcięć, używane jako symbole w wypadkach sprzedaży gruntu. Potrzecie, kij karbowy ziemski, używany dawniej w majątkach ziemskich, przybierający z czasem charakter symbolu pieniężnego; jest to w tym ostatnim wypadku rozszczepiony kij, którym się dzielą w połowie zarówno wierzyciel jak dłużnik. Jeszcze w XVII stul. skarb angielski miał w użyciu podobne kije. Czwartą formę stanowi kij obrachunkowy, karbowany. Dalej autor, naszkicowawszy wzajemny stosunek wspomnianych form, przedstawia, jak pierwotny dokument staje się jakby odmianą, dalszym ciągiem, nowem ogniwem kija karbowego. Pierwotne dokumenty są to „listy karbowe,“ rozcinane w sposób zygzagowaty. Nareszcie autor wyprowadza rodowód wszelkich papierów wartościowych z dokumentu prawnego. W pierwszym rzędzie mamy ewolucyę listu zastawno-lennego, który stopniowo podlega uruchomieniu i przenika do sfery obiegu. List ten z czasem otrzymuje klauzulę przekazu (w rodzaju tej, jaką ma nasz dzisiejszy weksel), która umożliwia krążenie jego z ręki do ręki. I ruchomienie atoli pewnych praw i przenoszenie ich z jednej osoby na drugą odbywa się jeszcze w inny sposób. Z pierwotnych dokumentów i aktów, ugrupowanych pod względem administracyjnym, powstają księgi ziemskie, których stronice zmieniają swych właścicieli. Z tych ksiąg ziemskich wyłania się hypoteka, której numery i miejsca przechodzą od jednej osoby do drugiej. Tak więc drogą księgowania dobra lub kwoty pieniężne a raczej odpowiadające im obligacye obiegają i podlegają wymianie. Tę samą podwójną metamorfozę odbyły rozmaite papiery kredytowe, np. weksel. Autor wykazuje, jak z jednej strony na słynnych jarmarkach włoskich kompensowano wzajemnie weksle drogą tak zwanego *scontro*, skąd powstały z czasem księgi życiowe; z drugiej zaś strony weksel obiega i zmienia się drogą klauzuli przekazu i *indosu* (indossamentu). Tak przedstawia się w grubych zarysach rozwój papierów wartościowych, krzyżowany przez czynniki rozmaitej natury jako to: wzrastający użytek kredytu, powstanie stowarzyszeń kredytowych i akcyjnych, banków stowarzyszeniowych, istnienie obok kija karbowego innego symbolu t. zw. festuki, której rzucaniem poświadczano zrzekanie się własności.

H. Forszteter.

ZAGADKI ŚWIATA.

III.

Taka jest w ogólnych zarysach treść ostatniej książki Haeckla. Zarówno z powyższego przeglądu treści, jak i z tych ustępów, któreśmy dosłownie tu i owdzie przytoczyli, czytelnik może sobie wytworzyć pewne pojęcie i o jej charakterze. Książka ta przedstawia dziwną mieszaninę uwag i spostrzeżeń prawdziwie naukowych, śmiałych i trafnych przypuszczeń, zręcznych i płytkich sylogizmów, barwnych paradoksów, pozornie konsekwentnych wywodów, dziwacznych spekulacyj metafizycznych, dowcipnych i aż cynicznych wycieczek polemicznych, uniesień szczerego uczucia, a nawet uwag charakteru społecznego i politycznego.

Ten charakter niejednolity zaznacza sam autor w przedmowie do pracy swojej, nazywając ją zbiorem szkiców o bardzo różnej wartości. Pod pewnymi względami ma ona jakby charakter obszernego katechizmu lub podręcznika, podzielonego na części, rozdziały i paragrafy, w których łatwo bardzo odnaleźć punkty poszczególne — niby księga podręczna dla rzecznika idej monistycznych, w której miałby gotową odpowiedź na najrozmaitsze pytania, cisnące się do głowy, i każdą kwestyę, przedstawioną ze stanowiska filozofii monistycznej.

Stanowisko to Haeckel zaznacza wciąż, na każdym kroku, korzystając z każdej nadarzającej się okoliczności. Gdy mówi o danem zjawisku, charakteryzując je jako fizyologiczne, ze skwapliwością dodaje w nawiasie: *also auch psychologisch!*, aby zawsze i wszędzie zaznaczać, że psychologia jest tylko częścią fizyologii. Gdy mówi o wiele zapowiadających badaniach zdolnego fizyka z Bonn, Henryka Hertza, nie omija sposobności zaznaczenia jego śmierci przedwczesnej, aby napisać: „śmierć tego wielce utalentowanego młodego fizyka, zarówno jak i śmierć Spinozy, Rafaela, Schuberta i wielu innych genialnych młodzieńców, należy do szeregu tych brutalnych faktów historyi ludzkości, które już same przez się obalają niedorzeczny mit o „mądrej opatrzności...“

Jak to możnaby się już z góry spodziewać po charakterze książki, pierwiastek polemiczny jest w niej reprezentowany bardzo mocno. Niekiedy wycieczki tego rodzaju są pełne humoru i dowcipu. W rozdziale o nieśmiertelności duszy autor rozbiera rozmaite pojęcia, w jakich sobie przedstawiano różnymi czasy i w różnych miejscach istotę duszy. Bardzo rozpowszechnioną jest też między innemi pojęcie o duszy, jako o istocie lotnej na kształt gazu: „w takim razie — czytamy na str. 232 — moglibyśmy duszę w tej chwili, gdy opuszcza ciało, zebrać w naczynie szklane i przy niższej temperaturze oraz pod ciśnieniem zgęścić w „ciecz nieśmiertelną“ *(fluidum animae immortale)*; a w dalszym ciągu — skondensować ją aż do stanu stałego, np. w postaci „śniegu duszy.“ Dotychczas eksperymet taki nikomu się jeszcze nie udał“ — zapewnia nas Haeckel w końcu niby naiwnie. Wycieczki te i dowcipy nie zawsze są udatne, rażą niekiedy zbytnim cynizmem i psują wrażenie książki, która bądź co bądź jest pracą poważną.

W końcu jeszcze jedno pytanie — ostatnie: w jakim stosunku są te wszystkie dociekania i rozumowania do „zagadek świata,“ wymienionych w tytule książki?

Emil Dubois-Reimond w znanej swej mowie, wygłoszonej na posiedzeniu akademii berlińskiej w r. 1880, wymienia siedem następujących zagadek wszechświatowych: 1) istota materyi i siły. 2) początek ruchu; 3) początek życia; 4) pozornie celowe urządzenie przyrody; 5) powstanie prostego czucia zmysłowego i świadomości; 6) myślenie rozumne i powstanie mowy, 7) wolność woli. Monizm zajmuje względem zagadek powyższych stanowisko następujące: zagadnienie pierwsze, drugie i piąte—te, które Dubois-Reimond uważa za absolutnie nierozwiązalne (słynne jego: *ignorabimus!*), sprowadzają się do jednego zagadnienia substancyi i znajdują pewne wyjaśnienia w monistycznem „prawie substancyi“; zagadkę trzecią, czwartą i szóstą dostatecznie rozwiązuje teorya ewolucyi, zagadka zaś siódma — o wolności woli zupełnie nie istnieje, jako przedmiot dociekania naukowego.

Cały świat bowiem przedstawia w swym rozwoju ze stanowiska filozofii monistycznej jeden wielki proces mechaniczny: celów żadnych niema w tym procesie — wszystko stanowi przypadek! A że każde zjawisko ma swą przyczynę mechaniczną, przeto z tego punktu widzenia przypadków wcale niema. Zresztą, czy będziemy tak, czy inaczej pojmowali znaczenie tego pojęcia, zawsze również w całym wszechświecie, jak i w każdym osobnym „przypadku“ odnajdziemy zasadnicze wielkie „prawo substancyi.“

Haeckel nie kusił się oczywiście w swej książce o ostateczne rozwiązanie zagadek bytu. Chodziło mu tylko o krytyczne ich oświetlenie, aby wytworzyć pewne pojęcie o tem, jak daleko umysł ludzki posunął się już na drodze ku ich rozwiązaniu. Chodziło mu o zebranie główniejszych zdobyczy dziewiętnastoletniego stulecia, które wyrosły na podstawie największej z nich—teoryi rozwoju — aby, że tak powiemy, skonfrontować ów dobytek duchowy, z którym ludzkość wkracza w podwoje XX stulecia. Chodziło mu o ujęcie tego wszystkiego w szranki jednej doktryny, o oświetlenie z jednego punktu widzenia—o sprowadzenie do jednego, wszechogarniającego „prawa substancyi.“

I dumny jest z tego starzec, stojący nad grobem, iż głosi światu to, co się hen niegdyś w jego umyśle młodzieńczym poczęło. Z dumą opowiada o „metamorfozach psychologicznych,“ którym podlegali z biegiem życia swego zarówno wielcy jego poprzednicy, jak i towarzysze — pionierzy i uczniowie: Kant z wiekiem przechylać się począł ku mistycyzmowi, Wundt — ku dualizmowi, Virchow i Dubois-Reimond—ku witalizmowi — i wielu, wielu innych, bo to taka zwykła historya starzejącej się duszy ludzkiej. „Na usprawiedliwienie swoje—mówi Haeckel — mogliby wszyscy oni przytoczyć, iż za młodu przeoczyli trudności podjętego zadania... Dopiero na starość doświadczenie życiowe i zdrowy rozsądek otworzył im oczy na owe błędy młodości i wskazał drogę prawdziwą. A może, odwrotnie... w młodości pogląd ich był tylko wolniejszy i zdolność sądu czystsza? Doświadczenie życiowe niekiedy nie wzbogaca, lecz tylko mąci poglądy, a osłabienie starcze sprowadza zarówno rozwój wsteczny mózgu, jak i innych organów...“

On pozostał taki śmiały i taki wolny w swych poglądach, jak za czasów młodzieńczych, a wiara niewzruszona, z jaką wygłasza swe opinie, godna jest podziwu. I chociaż pamiętamy o tem, że w wielu rzeczach się myli, że spekulacye jego częstokroć są zbyt nieuzasadnione, to wszakże z drugiej strony winniśmy i o tem pamiętać, że w nauce nietylko ci są potrzebni, co *rozwiązują* zagadnienia, lecz i ci, co je *rzucają*. To są dwa odrębne typy pracy twórczej; w jednej organizacyi duchowej częstokroć wzajemnie się one wyłą-

czają, lecz przy budowie gmachu wiedzy ludzkiej zarówno oba są niezbędne. Jedni wskazują drogi, sięgając tam, gdzie wzrok nie sięga, a inni idą we wskazanych kierunkach, idą wolno, wały sypią, podpory budują, tamy stawiają i góry równają — błogosławieni pracownicy...

Edward Strumpf.

LITERATURA I SZTUKA.

POEZYA I RYMY.

—•—

I.

Ada Negri: *Pieśni niedoli* (*Fatalita*). — *Burze* (*Tempeste*), tłomaczył Gabor, Warszawa 1899.

Zdarza się niekiedy, iż poeta i tłomacz jego tak się ściśle zespolą, że ich od siebie odłączyć niepodobna, porównywając przekład z oryginałem widzimy, iż dosłownym on bynajmniej nie jest; dostrzegamy różnice wyrażeń, porównań, obrazów nawet, a jednak przekład jest doskonałym, bo tłomacz zrozumiał, odczuł i ukazał nam we właściwem świetle ducha i nastrój autora oryginału. I mamy wtedy prawdziwe dzieło sztuki. Bywa tak wtedy, kiedy talent tłomacza dorównywa (jeśli go nie przewyższa) talentowi tłomaczonego poety. I takby być zawsze powinno. Niech Mickiewicz da nam poznać Byrona, Kasprowicz Shelleya, Konopnicka—Vrchlickiego i Swinburna. Nieraz czytając dzieła, przyswojone mowie naszej, nie moglibyśmy się domyśleć, iż nie są to utwory oryginalne, gdybyśmy skądinąd nie byliby o tem uprzedzeni. Wielcy poeci dali nam ujrzeć dusze innych wielkich poetów w zwierciadle ich własnych dusz odbite. To też nie zmalały w nim one! Widzimy je w całym ich blasku i potędze. Bywa nawet tak, jak to np. z „Cyrano de Bergerac" miało miejsce, iż dzieło w przekładzie większej nabiera świetności; talent Rostanda w wierszu Konopnickiej, jak promień załamany w krysztale, zabłysnął tęczowemi barwami. Tłomaczenie scen lirycznych w „Cyrano de Bergerac" od samego oryginału jest piękniejsze.

Mamy oto przed sobą pieśni Ady Negri, spolszczone przez p. Gabora, „Pieśni Anakreontu" w przekładzie, wreszcie urywki z Byrona, Shelleya, Poego, Rossettiego, Leconte de Lisla. Jaką miarę przyłożymy do tych prac? Zacznijmy od Ady Negri i Gabora. Lecz o poetce czy o tłomaczu wpierw mamy mówić? Albowiem nieforemne losu zrządzenie chce, żebyśmy jednocześnie o nich obojgu mówić nie mogli.

Ada Negri nietylko w ojczyźnie swojej, ale i po za granicami Włoch zjednała sobie sławę dzięki sile, świeżości i oryginalności sympatycznego swego talentu. Dziecię ubogich robotników, później nauczycielka ludowa, zmuszona ciężko walczyć z nędzą, zna dobrze potęgę okrutnych jej szponów i niedolę wydziedziczonych i skrzywdzonych maluje z wielką prawdą. Lutnia jej wszakże nie jest jednostrunną; poetka uderza często w struny nadziei, wierzy w zwycięstwo dobra, śpiewa pełne zachwytu pieśni na cześć życia, słońca, miłości. To o niej wiemy. A w polskiej szacie — jak się oczom naszym ukaże? Szkoda, że w tę szatę przyodziać jej nie może tak wcześnie zgasła Bartusówna; i talenty poetek, i zewnętrzne koleje ich życia są pokrewne. Bądź co bądź posiadamy cały zastęp utalentowanych poetów i poetek, władających pięknym językiem, wrażliwych na subtelne odcienie myśli. Mimowoli odczuwamy żal, dlaczego właśnie p. Gabor, nie kto inny upodobał sobie włoską śpiewaczkę... Zabójstwo nierozmyślne, chociaż przez kodeks karny za mniejszą, niż umyślne, jest uważane zbrodnię, zabójstwem być nie przestaje. P. Gabor jest jedną z odmian nowożytnego Kaina; chce się go zapytać: coś uczynił z duszą Ady Negri? I tą szlachetną, namiętną duszą? Zabił ją Gabor w jej poezyach. Uczynił to nieumyślnie i nieświadomie, niemniej uczynił to. Z tłomaczeń jego, których tytuły zachowały wymowną swą siłę, przegląda jakaś dziwnie zbiedzona, marna, mała dusza.. A przybrał ją w dodatku tłomacz w taką szarą, bezbarwną, nędzną szatę, jak gdyby na umyślne urągowisko! Trudno o słabszą formę, o większe niedołęztwo, o ubóstwo tak żałosne gminnego wprost języka, którego liczne błędy wywołują raz po raz to uśmiech, to znów ruch zniecierpliwienia (*te same* dziecię, zrucą, jedna zam. sama, jak zam. gdy, którem, wypełzgnięty, piętno wampir*a*, topnie, przycisła itp.). Pospolitość trywialna wyrażeń idzie o lepsze z rozpaczliwą ich niezręcznością, która często tragiczny lub ponury nastrój utworu na komiczny zamienia, jak to się dzieje np. w pierwszym z kolei utworze, zatytułowanym: „Widzenie." Poetka opowiada o ujrzanem w nocy groźnem widmie niedoli, które oznajmiło, iż odtąd do grobu chce jej towarzyszyć. Gwałtownie odpycha od siebie straszne widziadło, woła, że żyć pragnie całą pełnią istnienia, pragnie kochać, być szczęśliwą. Widmo przyrzeka poetce natchnienie i sławę: poetka zgadza się wtedy na ten układ, wyciąga dłoń do swej smętnej towarzyszki i pozwala jej zostać przy sobie. Jakże ten utwór, wzruszający i pełen siły, wygląda u p. Gabora? Zaraz przy słowach pierwszej zwrotki czytelnik musi się uśmiechnąć. „Przyszło dziś do wezgłowia śród nocy pomroku widmo z aureolą. *Zerknęło* na mnie, krzyk stłumiłam wolą! Rzekło: jestem niedolą!" „Spójrz tam, prawi dalej widmo, tam w górze *stoi*, że jesteś kwiatem ofiar i *znoi*." Poetka krzyczy: „Precz! ja chcę nadziei, co wiośnie mojej jest dana, chcę być geniuszem oblana! Ach, odejdź, wiedźmo skalana!" — A oto inny obrazek p. n. „Kwiat gminu." Na poł dzika, piękna dziewczyna w uniesieniu zazdrości, rani rywalkę, a potem pada przed ukochanym, błagając o przebaczenie. P. Gabor opowiada: „Znasz ją? Jak wiedźma, jak czarna bogini, przez wiatry wychowana, jak z dyablów jaskini! Wiedząc, że ją zdradziłem jednego poranka, z kim srogo przewiniłem, gdzie moja kochanka, bieży do niej tajemnie, leci w kąt wskazany, rani biedna nikczemnie, jak koń rozkiełznany" itd. Widok śmiejącego się małego ulicznika nasuwa Adzie Negri bolesne rozmyślanie o jego teraźniejszości i przyszłości. P. Gabor tak o tem mówi: „I całowałbym *te* brudne dziecię w usta i w rączki i w oczy, aby nie było tak same na świecie i sąd wydało proroczy." O czem czy o kim — nie kończy p. Gabor. Wogóle często, znacznie częściej chyba, niż Ada Negri, jest on zagadkowy. „Socha" np. mówi u niego: „marzę, jak kiedyś, przez gmin dzierżona wolny i silny, stateczny, powstanę życiem łez odrodzona z płodu, gdzie żywot bezpieczny..."

Przerzućmy kilka kartek książki. Oto jeździec rozmawia ze swym rumakiem, tęskniącym za rodzinnymi stepami Arabii. „*Jak* wznosisz głowę, potrząsasz grzywą, *jak* grzebiesz nóżką ognistą, żywą, to wszystko w tobie ucieczkę wróży... I mnie pociąga urok twej *gleby*—zwierza się dalej jeździec rumakowi — o, i ja dążę do twej *koleby*" itd. Rozrzewniająca jest miłość Ady Negri dla matki, poświęca jej poetka kilka utworów. Czemuż tych przynajmniej okrutny p. Gabor nie oszczędził, nie tłomacząc ich wcale! Zamiast pełnych siły, pełnych szlachetnych myśli, nabrzmiałych łzami, drżących uczuciem poezyj, mamy ich parodye tylko! Matka poetki umiera, a ona tak się modli: „Błagam Ciebie, Panie Niebu, co mnie widzisz w nocy! Boże, skargą twoją (?!) jęknę, nad siły człowieka: Błagam cię niezmiernie. Ach, litości, Panie, *za* nią, co konanie męczy! Jam rozpaczy mej *niepanią!* Rozpacz mię zadręczy..." A jednak i po polsku Ada Negri może przemówić inaczej, niż oto w tej książeczynie. Żeby nie nużyć zbytnio czytelnika, przytoczę kilka tylko zwrotek innego tłomacza, nie jaśniejących zresztą zgoła wyjątkowemi zaletami formy.

Na kamienistej ja wyrosłam drodze,
Ból tylko był moim udziałem.
Bez ojca, chleba, ciągle żyłam w trwodze.
Lepianka państwem mem całem.
Znałam te noce i te dni bez świtu,
I te modlitwy daremne,
Straszne dni głodu, owe dni bez bytu,
[illegible]
Wszystko ja znałam, wysilenia próżne,
I wyzywania o litość,
I *te* szyderstwo, te pogardy różne,
I wstyd mej nędzy i skrytość!
I wreszcie kruk mnie wziął z barłogu nędzy,
Ten kruk szpitalny, kruk czarny,
I chwycił chciwie, chwycił mnie czemprędzej.
By zanieść na stół ofiarny!
I tak umarłam, jak ten pies, co zdycha.
Jak pies bez dachu, bez pana,
Słyszysz? opowiedz, niech zna ludzka pycha,
Na co ja byłam skazana!
Do trumny włosów dziś nikt nie zaplecie,
Nikt pocałunku nie złoży.
Dlaczego? powiedz, ta bezlitość w świecie,
Czeka was kara, gniew boży!

Gabor.

Wyrosłam na ulicy. Ojcowskiego
Domu nie znałam i nie miałam matki.
Dzieckiem, łachmany od zimna mię strzegą:
Rodziną był mi ulicy bruk gładki.
Lecz za to wiem, co noc bezsenna znaczy,
Gdy się o ranek przyszły troszczyć trzeba,
I te zgryzoty znam, pełne rozpaczy,
I nędzę, i dni, w których niema chleba.
I życia zamęt znam, i te tęsknoty,
Gdy serce trwożnie o radości marzy,
A nigdy z nikąd nie zazna pieszczoty
I nic nie widzi, oprócz obcych twarzy.
A kiedy ległam chora, to mię dali
Do szpitala: miałam tam pościel czarną.
Śmierć, jak sęp czarny, czyhała zo ddali,
Nad tapczanami, gdzie nędzarze leżą.
Jak pies bezdomny, równie zapomniana.
Równie samotną ta śmierć mnie zabrała.
Umierającej tam nie pocieszono
I nie płakano po mnie, gdym skonała.
Chociaż włos czarny spadał mi na szyję
Gęstymi sploty i twarz miałam wdzięczną,
Nie całowały mię usta niczyje
I nie szeptały pieszczot w noc miesięczną.

J. Sten.

Dość. Nie dodamy tu komentarza. Porównanie dla czytelnika nie będzie zbyt trudne. Na zakończenie malutka „Wyprawa nocna" p. Gabora (bo jużci nie Ady Negri). Jedziemy! północ, konik twój leniwy, droga daleka — to żółw jest prawdziwy. Gdzie jedziesz? pytają mnie z grobów swych głębi cienie o los swój, niepokój je gnębi, chcą śmierci *wyniku*..."

Ale znudzony czytelnik pragnie już pewnie „wyniku" oceny, a przynajmniej jej końca... Jeżeli zważymy, iż p. Gabora do jego przedsięwzięcia popchnęły prawdopodobnie wzruszenia, wywołane w nim poezyą śpiewaczki włoskiej, iż zamiar sam przez się był sympatyczny, a nikt nie może przewidzieć, czy „wynik" pracy odpowie chęciom i usiłowaniom — wówczas, pobłażliwością pobudzeni, wstrzymujemy się z wypowiedzeniem ostatniego słowa, by ono nie było zbyt twarde i bezlitosne... Lecz spojrzmy wokoło siebie, jak wzbierają zewsząd fale wstrętnej i płaskiej miernoty i zalewają nam pola! Jak bujnie zarastają nam chwastami niwy, jak szybko gromadzi się stos śmieci, zasypujący nam

oczy kurzawą! Jak natarczywie z po za niego rozlegają się głosy, domagające się uznania, ba, uwielbienia! Wtedy niechęć krzywi nam wargi, usta mimowoli składają się do powtórzenia czyjegoś namiętnego okrzyku: „Dusze ubogie, dusze nudne i natrętne! Czemuż nie milczycie raczej.“

A. D.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

POWIEŚCI. L. Jahołkowska-Koszutska (Lassota): „Z teki wrażeń,“ str. 196. Borkowski.

— W. Sieroszewski: „Latorośle.“ — „Pustelnia w górach.“ — „Czukcze.“ Z ilustracyami K. Górskiego i J. Pankiewicza. *(Biblioteczka ilustr.)* str. 317. Gebethner i Wolff.

— N. Bardzka: „Utopista,“ pow. współcz., str. 263. Sadowski.

— Z. Kaczkowski: „Wybór pism,“ t. VII („Annuncyata“). Gebethner i Wolff.

POEZYE. Kalk Sineka: „Myśli i uczucia,“ c. 50 kop. Dubowski.

MONOGRAFIE. J. Klaczko: „Rzym i odrodzenie — Juliusz II,“ zeszyt VIII. Okręt.

HYGIENA: Dr. Laurent: „Hygiena cyklisty,“ przekł. dr. F. Jak..., c. 40 kop. Dubowski.

PODRĘCZNIKI. H. Chankowski: „Wykład popularny rachunkowości handlowej i finansowej,“ zeszyt I. Cena całości w przedpłacie rb. 2. Nakład autora.

W DALI.

Petersburg. *Nowoje Wremia* zamieściło artykuł, w którym dowodzi, że projektowane zmniejszenie mocy wódki, przy utrzymaniu ceny jest „środkiem niepolitycznym.“ Trudno przypuścić, aby masy ludowe nie zauważyły zmiany lub zachowały się względem niej obojętnie. Zastosowanie tego środka wywoła niepożądane komentarze o tem, że rząd „psuje wódkę.“ Pamiętać też należy, że cała masa dawnych szynkarzów nie pogodziła się jeszcze ze swym losem, ale śledzi pilnie każdy krok reformy i na pewno postara się o wyzyskanie na swoją korzyść „psucia“ wódki. W ten sposób ludność może stracić zaufanie do reformy, co przecież z różnych względów nie jest pożądanem, a faktem jest, że w zmniejszeniu mocy wódki będzie ona widziała jedynie dążenie do osiągnięcia większych korzyści z podatku akcyzowego. — Prawie dwa lata upływają od czasu — pisze *Now. Wr.* — uchwalenia prawa z dnia 11 (23) maja 1898 r., upoważniającego banki handlowe, akcyjne i towarzystwa wzajemnego kredytu do udzielania kredytu rolnikom na sola-weksle: Od tego też czasu Bank państwa zaczął wycofywać się z kredytu rolniczego, sprowadzając go do nieznacznej sumy 8 z czemś mil. rubli na całe państwo. Banki i towarzystwa atoli przyjęły nowe pełnomocnictwo więcej niż z zastrzeżeniem. Formalnie wprowadziły one kredyt na sola-weksle rolników, w rzeczywistości kredyt ten pozostał jedynie w bilansach Banku państwowego, z tą różnicą, iż z 25 mil. spadł do 8. Obecnie, jak się zdaje, przedsiębrane są kroki celem zachęcenia banków i towarzystw wzajemnego kredytu do operacyj sola-wekslowych. Przynajmniej Bank państwa w tych dniach wydał rozporządzenie do wszystkich swoich zakładów miejscowych, zalecające redyskontowanie sola-weksli ziemiańskich, składanych przez banki i towarzystwa, o ile do terminu płatności pozostaje najwyżej 6 miesięcy. Podstawy nowego rozporządzenia są następujące: Kredyt na redyskonto sola-weksli otwiera się bankom i towarzystwom wzaj. kred. niezależnie od kredytu, przyznawanego tym bankom i towarzystwom na inne działy redyskonta i na rachunki specyalne. Banki i towarzystwa korzystają z owego kredytu w ten sposób, azeby corocznie, w ciągu około czterech miesięcy (według wyboru miejscowego komitetu dyskontowego), nie było zadłużenia w działach tego kredytu. Składane do redyskonta sola-weksle są rozpatrywane przez komitet dyskontowy trybem zwykłym, stawia się atoli wymaganie, ażeby banki i towarzystwa, otrzymujące kredyt z tytułu redyskonta sola-weksli, nie udzielały kredytu rolnikom, których majątki są zastawione do wysokości z górą 60% szacunku. — Dla zabezpieczenia stanu materyalnego pracowników nieetatowych w zakładach i sklepach monopolu wódczanego, ministeryum opracowało projekt kasy emerytalnej i złożyło ustawę do zatwierdzenia w drodze prawodawczej. Zadaniem kasy ma być udzielanie emerytury i zapomóg uczestnikom tudzież ich rodzinom. Wszyscy pracownicy nieetatowi płci obojej, otrzymujący przynajmniej 120 rb. płacy rocznie (w tej liczbie i robotnicy z określoną płacą stałą), są uczestnikami kasy obowiązkowo, oprócz osób wstępujących na służbę w wieku od lat 60. Do wysłużenia emerytury wymagane jest lat 15 z zastrzeżeniem, iż emerytura wypłacana będzie tylko osobom, opuszczającym służbę. Kawalerowie, wdowcy i bezdzietni mają pobierać emeryturę w stosunku $^{3}/_{4}$ emerytury, jaką otrzymują uczestnicy z rodzinami itp. Sprawami kasy zarządzają: komitet główny kasy w Petersburgu, komitety gubernialne. Koszty utrzymania tych zarządów ponosi skarb. Rada państwa projekt nowej kasy już rozważyła.

Kalisz. Po świętach wielkanocnych nagle rozpoczął się ożywiony ruch wychodźców. Ze wszystkich stron ściągają do Kalisza setki osób, jako do punktu zbornego. Następnie jadą do Prus na wozach umyślnie wynajętych. Dnia 19 b. m. przejeżdżało przez Kalisz przeszło 600 osób płci obojej, oddzielnie mężczyźni i kobiety, mieszcząc się po 12 osób na wozie. Byli to włościanie z okolic Kleczewa. Utrzymywali oni, że teraz dopiero należy się spodziewać wyjazdu robotników, którzy całemi koloniami wybierają się do „Saksów,“ pozostawiając w domu jedynie starców, dzieci i istoty niedołężne. Na miejsce owych wychodźców obywatele sprowadzają robotników z Galicyi, lecz jak dotąd w stosunku do obecnego wychodźtwa bardzo mały procent ich przybędzie, gdyż i z Galicyi mnóstwo ludzi zakontraktowano do Prus. Dotąd w okolice Kalisza, jak pisze gazeta miejscowa, przybyły trzy partye robotników galicyjskich, składające się z niewielkich gromad.

Żytomierz. Roboty, mające na celu osuszenie błotnistych pól gub. Wołyńskiej, prowadzone są już od lat 24 i kosztują skarb państwa około 5 mil. rubli. Za sumę tę uczyniono zdatnemi do uprawy zbóż 450,000 dziesięcin. Pieniądze te nie poszły na marne, o czem świadczą dane następujące: Przed rozpoczęciem robót gubernia Mińska posiadała 130,000 koni, a obecnie liczy 347,600. Liczba bydła rogatego zwiększyła się z 463,000 do 927,000 sztuk, czyli o 100%. W g. Wołyńskiej liczba koni z 325,000 zwiększyła się do 709,700, liczba bydła rogatego z 524,000 do 878,700 sztuk.

KRONIKA.

Źródło skarg. Do ministeryum skarbu zaczęły napływać skargi od właścicieli warszawskich kantorów bankierskich oraz od osób prywatnych na nieprawidłową działalność kas oszczędnościowo-pożyczkowych, powstałych w ostatnich latach w Warszawie przy różnych instytucyach, oraz istniejących samodzielnie. Ministeryum poleciło sprawę tę zbadać warszawskiemu oddziałowi Banku państwa. Jakoż okazało się, że skargi te pochodzą wyłącznie od właścicieli kantorów, oraz drobnych bankierów, którzy w przeciągu długiego szeregu lat trudnili się dyskontowaniem weksli, oraz wydawaniem pożyczek osobom prywatnym i na zastaw papierów wartościowych. Utworzenie warszawskiego Towarzystwa oszczędnościowo - pożyczkowego, którego obroty sięgają przeszło 1,500,000 rb., oraz innych podobnych kas przy różnych stowarzyszeniach, znacznie rozszerzających drobny kredyt, zabójczo oddziałały na operacye dyskonterów prywatnych i właścicieli kantorów bankierskich, zmuszonych ograniczać się teraz skromną rolą kantorów, załatwiających jedynie zlecenia przekazowe i wymianę pieniędzy. Stąd to właśnie i owe skargi operatorów finansowych.

Kasy gminne. *Warszawskij Dniewnik* donosi, że dokonana niedawno peryodyczna rewizya kas gminnych przez komisarzy włościańskich wykazała pomyślny rozwój tych instytucyi. Włościanie coraz chętniej odwracają się od kredytu, zaofiarowanego przez lichwiarza, a szukają pożyczki w kasie gminnej, w której opłacają 8 proc. W gubernii Warszawskiej kas takich jest 184, z kapitałem przeszło 220,000 rubli. Dzielą się one na trzy kategorye: gminne (177), miasteczkowe (6), jedna wioskowa. Kapitał zakładowy powstaje z sumy, dostarczonej przez rząd, która jest wycofywana, skoro się podwoi wskutek narosłego procentu, poczem kapitał zakładowy prywatny stanowią owe odsetki.

Ruch kobiecy. Statystyka pocztowo-telegraficzna niemiecka za rok 1898 podaje, że w Niemczech (z wyłączeniem Wirtembergu i Bawaryi) zajętych było w urzędach pocztowych i telegraficznych *10,247* kobiet (1897 r. 7,256).

— Za przykładem Ameryki i Anglii, w Niemczech coraz częściej widzimy kobiety, zajęte w inspektoracie fabrycznym. I tak w Bawaryi, Hesyi i Prusiech mianowano po dwie kobiety na urzędy pomocnic inspektorów fabrycznych. Instytucya ta jest tak młoda, że zaledwie w ostatniem tylko sprawozdaniu inspektorów znajdujemy obszerniejsze o niej — jaknajpochlebniejsze — wzmianki. W wielu innych jeszcze państwach Rzeszy niemieckiej zamierzają iść za przykładem rządów wymienionych wyżej.

— W Budapeszcie panna Eryka Paulass zgłosiła się do komisyi urzędowej, zamierzając poddać się egzaminowi na stopień budowniczego.

— W Groningen (Holandya) utworzył się komitet kobiet, zamierzający zbadać sprawę zatrudnionych w mieście szwaczek.

— „La ligne française pour le droit des femmes“ za pośrednictwem prezydującej pani Pognon zwróciła się z orędziem do prezydenta rzeczypospolitej francuskiej, domagając się, aby rząd francuski wpłynął na ukończenie wojny transwalskiej.

— W Anglii 30 tysięcy kobiet pracuje w urzędach pocztowych i telegraficznych, co stanowi $^{1}/_{5}$ całego personelu urzędniczego. Z tej liczby 1,320 zajmuje wyższe posady. Wynagrodzenie waha się od 55 do 500 funtów szterl. (550—5,000 rb.) rocznie.

— Poważne czasopismo niemieckie *Deutsche medicinische Wochenschrift* ogłosiło list z Petersburga, z którego czerpiemy następującą wiadomość: „W Instytucie medycyny doświadczalnej pracuje pani dr. Schulz, zaliczana do najlepszych znawców bakteryologii, która miewa wykłady ze swej specyalności dla kobiet i mężczyzn. Panna dr. Ławrowskaja, ordynująca w szpitalu obuchowskim oraz kilka innych lekarek odbyły w r. z. pod wodzą księcia Oldenburskiego znaną wyprawę do Turkiestanu dla walki z dżumą. Dzięki niezmordowanej działalności panny dr. Pawłowskiej, powstało z zasiłków prywatnych sanatoryum dla suchotników w okolicach Petersburga.“

— Z Kalifornii donoszą, że w rządowym szpitalu dla obłąkanych mianowano obecnie na wydziale kobiecym kilka lekarek specyalistek w zakresie psychiatryi. — W Stanie Jowa kobiety domagają się urządzenia specyalnych zakładów poprawczych (reformatory) dla kobiet. — W Kolorado po raz pierwszy kobieta zasiadła na ławie przysięgłych podczas rozpraw sądowych.

Poczta. Praktyka wykazała, że liczba posyłek banderolowanych stale wzrasta, tamując przez to prawidłowy ruch korespondencyi listowej i innej. Przytem często listy i papiery, wysyłane pod opaską lub w kopertach niezaklejonych, wypadają i giną. Obecnie więc postanowiono zaprowadzić pewną zmianę w istniejących przepisach, a mianowicie: wszelka korespondencya będzie wysyłana w kopertach zaklejonych; posyłki pod opaską będą zniesione. Co do opłaty, korespondencya dzielić się będzie na terminową czyli pilną i zwyczajną. Za pierwszą płacić się będzie jak za list zwykły, za drugą jak za przesyłkę pod opaską. Korespondencya terminowa będzie miała takie same pierwszeństwo przed inną, jakie obecnie mają depesze terminowe.

Sprawy ekonomiczne. Za zaległości w opłacie rat Bank szlachecki wystawia w maju r. b. na sprzedaż

przymusową 2,217 dóbr ziemskich, w tej liczbie w gub. Wileńskiej 9, Witebskiej 18, Wołyńskiej 20, Grodzieńskiej 10, Kijowskiej 15, Kowieńskiej 13, Mińskiej 11, Mohylowskiej 13, Podolskiej 14, Smoleńskiej 44, Charkowskiej 53 i Czernihowskiej 56. Najwięcej dóbr wystawiono na sprzedaż w gub. Orłowskiej (256), Kurskiej (191), Tulskiej (144), Riazańskiej (128), Tambowskiej i Połtawskiej (109) i Symbirskiej (103).

— W Manchesterze i Glasgowie powstał olbrzymi syndykat fabrykantów bawełnianych. Zapisało się do niego 46 przedsiębiorstw. Rozporządza on kapitałem zakładowym 192,000,000 franków; dla rozszerzenia wszakże przedsiębiorstwa postanowiono wypuścić jeszcze akcyj na 6,000,000 funt. ster. i na 3,200,000 obligacyj po 1 funcie. Syndykat rozporządza 880 maszynami drukarskiemi, które mogą wypuszczać codziennie millard yardów materyi wartości 251,000,000 fr. Pochwycił on już w swoje ręce 85% produkcyi Anglii i teraz stara się o wciągnięcie fabrykantów z kontynentu.

Wystawy i zjazdy. W końcu maja r. b. odbędzie się w Warszawie 12 zjazd przedstawicieli służby ruchu kolei rosyjskich. Na porządku dziennym będzie około 30 spraw, z których do ważniejszych należą: 1) o polepszeniu służby ruchu i telegrafu przez zastąpienie pracy ręcznej systemem sygnałów i urządzeń mechanicznych; 2) o niezbędnych zmianach w organizacyi przewozu towarów za frachtem pospiesznym wobec wzrastającej potrzeby takiego przewozu; 3) o przyczynach spóźniania się pociągów i środkach zapobiegania temu; 4) o ruchu pociągów przy pomocy aparatów mechanicznych różnych systemów, o zaletach i niedogodnościach tych systemów i ich koszcie; 5) o sposobach przygotowania pracowników służby ruchu na kolejach rosyjskich i zagranicznych; 6) o narzędziach mechanicznych, używanych na kolejach rosyjskich dla kontrolowania biegu pociągów, tudzież o rezultatach eksploatacyi takich urządzeń; 7) program zajęć teoretycznych i praktycznych w szkole dla przygotowania pracowników służby ruchu w dziale technicznym i handlowym; 8) o rezultatach działalności stacyi Brześć, jako wewnętrznej węzłowej; 9) gospodarka wagonowa kolei.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. Lepar. w Zabajk. Szasteckiego: „Gramatyka czeska." (Wyd. Kasy Mianowsk.), c. rb. 1 kop. 20. Hora: „Słownik czesko-polski" (wychodzi obecnie zeszytami).

Zainteresowanemu. Zapomnieliśmy wymienić politechniki z językiem wykładowym niemieckim w Brunświku i Hanowerze.

Ciekawemu. Egzemplarz dzieła dr. Sieniawskiego może sz. Pan przejrzeć w redakcyi *Prawdy*, gdyż niepodobna dać bliższego wyobrażenia o książce w krótkiej notatce. W innych sprawach zechce Pan porozumieć się listownie z autorem artykułu, p. Tokarzewiczem (Hodi), pod jego adresem: Grodzisk, st. kol. Warsz.-Wiedeńskiej.

OFIARY.

Na kolonie letnie: Złożono w Administracyi za sprzedane numery *Prawdy* 2 rb.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Апреля 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.